

Anne Weale

Powrót do raju

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cały ekwipunek leżał już w zgrabnych kupkach na łóżku. Charlotte spojrzała jeszcze raz na listę i sprawdziła, czy niczego nie zapomniała. Maską, fajką do oddychania, płetwy; tabletki przeciw malarii; aparat i trzy filmy; plastikowe sandały do spacerów po rafie koralowej; krem do opalania z wysokim filtrem; kapelusz mający chronić przed słońcem.

Kiedy już odznaczyła wszystkie te rzeczy, zaczęła pakować je do czarnej walizki na kółkach i mniejszej, podręcznej torby od kompletu. Nie zamierzała zabierać więcej bagażu. Pracując jako przedstawicielka dużego biura podróży, Charlotte napatrzyła się na niezliczone rzesze turystów umęczonych targaniem wielkich, ciężkich waliz wypchanych zbędnymi ubraniami. Siedem lat mieszkania i pracy w różnych kurortach nauczyło ją, że należy podróżować z jak najmniejszym bagażem.

Wciąż się pakowała, kiedy przyszła Sally, jedna z jej współlokatorek. Sally była dziennikarką. Rzadko wyjeżdżała na dłużej z Londynu. Zajmowała mniejszą z dwóch sypialni we wspólnym mieszkaniu. Drugą Charlotte dzieliła z Kay, stewardesą, która teraz właśnie była w Bangkoku. Układ działał całkiem nieźle, zwłaszcza że Charlotte rzadko przyjeżdżała do Anglii. Kiedy tylko kończył się jej jeden pobyt, zaraz wysyłano ją w inne miejsce. Tak jak teraz.

Każda z trójki dziewczyn zbliżała się do trzydziestki. Wszystkie, chociaż z różnych powodów, nie miały zamiaru zmieniać swojego statusu wolnej, robiącej karierę kobiety.

- Cieszysz się z wyjazdu? - zapytała Sally, odsuwając nieco kołdrę i siadając na brzegu łóżka Kay z filiżanką kawy w ręce.

W przeciwieństwie do Kay i Charlotte, Sally niewiele podróżowała. Miała interesującą pracę, spotykała wielu

sławnych ludzi, a wakacje spędzała, opiekując się dziećmi swojej starszej siostry, która była samotną matką.

Kiedy Sally zadała pytanie, Charlotte stała właśnie pochylona nad torbą podręczną. Jasne, świeżo umyte jedwabiste włosy związała w koński ogon. Odpowiedziała Sally ciepłym uśmiechem, którym zwykle z mistrzostwem uspokajała rozgniewanych czy podekscytowanych turystów.

- Zawsze się cieszę... a teraz szczególnie. Dwa tygodnie na pokładzie szkunera z krótkimi przystankami na wyspach... Tak sobie wyobrażam raj.

- Ja też - powiedziała tęsknie Sally. - Chciałabym jechać z tobą. Luty to najgorszy miesiąc w roku. A ty już jutro będziesz tkwiła zanurzona po szyję w ciepłej wodzie. Szczęściara!

Dwanaście godzin później Charlotte siedziała w poczekalni drugiego terminalu lotniska Heathrow. Ze swojego miejsca w części dla niepalących obserwowała mężczyznę, który w tym momencie przechodził odprawę paszportową. Bardzo wysoki, ciemnowłosy trzydziestolatek z torbą w kolorze khaki. Urzędnik przeglądający paszport coś do niego powiedział. Mężczyzna błysnął białymi zębami w uśmiechu, w jego policzkach zrobiły się wyraźne dołeczki. Potem wsunął swój granatowy paszport brytyjski do kieszeni drogiego, sportowego płaszcza.

Ubrał się na podróż niemal tak samo, jak ona: koszula, lekki sweter i wełniana marynarka w kratkę, a do tego świeżo wyprane niebieskie dżinsy i wypastowane mokasyny na miękkich podeszwach.

Jednak to wcale nie podobieństwo ich strojów przykuło uwagę Charlotte. Nie chodziło też o to, że był kimś znanym czy zniewalająco przystojnym. Wtedy nie uznałaby go za atrakcyjnego. Woląла mężczyzn o bardziej wyrazistych rysach. Właśnie takie miał nieznamy. Mocny podbródek,

szerokie, zdradzające inteligencję czoło, proste ciemne brwi. Do tego przenikliwe spojrzenie jasnoszarych oczu...

Coś w nim było. Wyczuwała aurę apodyktyczności, z której wywnioskowała, że mężczyzna będzie podróżował pierwszą klasą. Zastanawiała się, dokąd leci i w jakim celu. Nie wyglądał na człowieka, który wybiera się na wakacje.

W przeciwieństwie do niej. Z Zurychu leciała do Male na Oceanie Indyjskim. Po wielu latach wracała na koralowe atole, gdzie spędziła dzieciństwo. Zastanawiała się, jak bardzo zmieniły się wyspy w tym czasie. Rozmyślania przerwała zapowiedź jej samolotu. W drodze minęła wysokiego mężczyznę. Nie uniósł wzroku znad „Financial Timesa”.

Ruszyła długim korytarzem do wyjścia numer 34. Czuła rosnącą irytację i rozczarowanie. Ktoś, kto się jej spodobał, pozostanie na zawsze nieznanym.

Miała dwadzieścia sześć lat i zawód, dzięki któremu często poznawała nowych mężczyzn. Nie brakowało jej adoratorów i randek. Nigdy nie bała się, że może zostać sama. Jednak nie spotkała nikogo, za kogo gotowa byłaby wyjść za mąż. Nikogo, kto choćby zbliżał się do jej męskiego ideału. Czasami leżała w bezsennej nocy i zastanawiała się, czy niezwykle dzieciństwo nie podsyciło w niej marzeń, które nigdy się nie zrealizują.

Wiedziała, gdzie szukać przyczyn. Do czternastego roku życia miała obok siebie niezwykłego mężczyznę, którego wpływ na nią był równie silny dziś, jak i wtedy, kiedy żył. Osobowość i charakter jej dziadka wyznaczały wzorzec, do którego porównywała każdego napotkanego mężczyznę. A wiedziała dobrze, iż żaden mu w pełni nie dorówna.

Przed sobą dostrzegła blondynkę w pantoflach na wysokich obcasach, ubraną w białe, bardzo obcisłe spodnie. Niezbyt pewnym krokiem zmierzała do samolotu. Długonoga

Charlotte, a w dodatku obuta w wygodniejsze obuwie, szybko ją wyprzedziła.

Mimo częstych wypraw do dalekich zakątków świata Charlotte nie utraciła dziecięcej ekscytacji podróżowaniem. Inni ludzie narzekali na niewygody i opóźnienia samolotów. A dla niej lotniska były tak wyjątkowymi, fascynującymi miejscami, że nie przeszkadzało jej nawet wielogodzinne czekanie. Pod jednym warunkiem - że terminale nie były zbyt zatłoczone. Ludzie byli może mniej barwni, lecz nie mniej interesujący niż ławice ryb przemykające między rafami dookoła Thabu, wyspy, na której dorastała.

W mniejszej poczekalni przy wyjściu numer 34 przyglądała się podróżnym, którzy napływali korytarzem. Ciekawa była, kto z nich leci do Zurychu, kto być może przesiada się tam na samolot do Male, stolicy odległych atoli, razem tworzących Republikę Malediwów.

Z tych, którzy tam polecą, zapewne ledwie garstka weźmie udział w jej rejsie. Prawdopodobnie wszyscy będą małżeństwami lub parami, bo kabiny na "Bryzie" były podwójne. Podróżujący w pojedynkę płacili więcej, co jeszcze podnosiło koszty i tak już drogiej wycieczki. Ona płaciła mniej, bo miała służbowe zniżki. Nie dostałaby ich jednak, gdyby rejs był w pełni obsadzony.

Ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że jako jeden z ostatnich na pokładzie samolotu pojawił się wysoki mężczyzna. Wzrost i dumna postawa sprawiły, że dostrzegła go, mimo że stał na końcu długiej kolejki.

Pewnie jedzie do Zurychu w interesach, pomyślała. Jednak jeśli tak, to czemu jest tak nieformalnie ubrany i ma torbę, a nie neseser?

Jej numer miejsca wywołano jako jeden z pierwszych. Obok siedział ksiądz w średnim wieku, który nawet nie

spojrzał w jej kierunku. Czarny garnitur duchownego pachniał kamforą.

Lot do Zurychu trwał tylko dwie godziny. Serwowano lunch i napoje.

Kiedy ona i inni pasażerowie lecący do Male znaleźli się na lotnisku w Zurychu, poinformowano ich, że przyspieszono nieco odprawę i powinni już wchodzić na pokład drugiego samolotu. Idąc korytarzem, Charlotte zobaczyła przed sobą wysokiego Anglika. Świadomość, że on też leci do Male, sprawiła jej irracjonalną przyjemność.

Podobnie jak ona, był spokojny i nie spieszył się przesadnie. Jednak wzrost i długość nóg sprawiły, że i tak po drodze mijał wielu pasażerów.

Charlotte zauważyła, że zrównał się z blondynką na idiotycznych szpilkach. Nie wyprzedził jej jednak, tylko coś powiedział i po chwili wziął od niej ciężką walizę. W rękach wysokiego mężczyzny bagaż od razu wydał się lżejszy.

Charlotte zachodziła w głowę, co spowodowało go do takiego gestu. Miała nadzieję, że to po prostu galanteria uprzejmego mężczyzny w stosunku do kobiety, która wyraźnie potrzebowała pomocy. Z drugiej strony mogła mu się spodobać krągła sylwetka blondynki i oszałamiający kolor jej tlenionych włosów.

Z obserwacji Charlotte wynikało, że samotni faceci w podróży często podrywają dziewczyny, na które w normalnych warunkach nie chcieliby nawet spojrzeć. Tak jakby jadąc na wakacje, ludzie zostawiali w domu dotychczasowe kryteria i pozbywali się skrupowania. Często na własną zgubę.

Bez względu na to, jaki był motyw postępowania wysokiego Anglika, blondynka bez wątpienia zamierzała wyciągnąć z tej sytuacji wszystkie możliwe korzyści. Nie

spuszczała oka ze swojego towarzysza, prowadziła ożywioną rozmowę, cała się przeginała i wdzięczyła do niego.

Do Zurychu przylecieli rejsowym, nie zatłoczonym samolotem, ale teraz czekał ich czarter, który zabierał na pokład dwieście pięćdziesiąt osób. Kiedy pasażerowie lotu z Londynu weszli na pokład, większość foteli była już zajęta.

Charlotte miała miejsce w tym samym rzędzie co wysoki mężczyzna. Siedział koło okna po lewej stronie, a obok niego starszy brodac, którego zauważyła jeszcze w Londynie. Ona miała miejsce po przeciwnej stronie, też pod oknem. Obok niej usadowił się nastolatek, którego rodzice siedzieli pośrodku, między przejściami. Blondynka na obcasach była zapewne gdzieś w pobliżu.

Gdyby Charlotte następnego dnia pracowała, piłaby jedynie wodę lub sok owocowy. Ale skoro miała przed sobą dwa tygodnie urlopu, z rozkoszą napiła się czerwonego wina Valais podanego do wspaniałego obiadu, na który składała się cielęcina z grzybami i kuskus oraz pyszny krem czekoladowy i camembert na deser.

Od czasu do czasu spoglądała znad talerzy w lewo, na dwóch mężczyzn pogrążonych teraz w rozmowie.

Wysoki włożył swoją torbę na górną półkę. Mimo to nie miała wątpliwości, że nie będzie to dla niego wygodna podróż. Sama zresztą też spodziewała się, że spędzi noc bezsennie, a przecież jej metr siedemdziesiąt to nic przy jego wzroście. Musiał być przynajmniej dwadzieścia centymetrów wyższy od niej.

Według szwajcarskiego czasu była pierwsza w nocy, kiedy wylądowali w Nairobi, gdzie zmieniała się załoga. Charlotte Uczyła na to, że pasażerowie będą mogli wyjść z samolotu i rozprostować nogi, ale nic z tego nie wyszło.

Chłopiec obok niej spał. Udało się jej przejść nad nim i go nie obudzić. Chciała choć na chwilę stanąć w otwartych drzwiach i odetchnąć świeżym powietrzem.

Nie ona jedna wpadła na ten pomysł. Koło drzwi stał między innymi wysoki Anglik, teraz w koszuli z krótkimi rękawami, dzięki czemu widać było wyraźnie, że nie spędza życia przy biurku czy w fotelu.

Rozmawiał właśnie po francusku ze stewardesą, ale kątem oka zauważył Charlotte i odsunął się nieco na bok, żeby zrobić jej miejsce przy drzwiach.

Po chwili stewardesa została wezwana na pomoc przez kogoś, kto miał kłopot z pasem bezpieczeństwa.

- Czy wie pan, która jest godzina czasu lokalnego? - zapytała Charlotte.

Spojrzał na zegarek na metalowej bransolecie.

- Tuż po trzeciej.

Miał głęboki, miły głos, który idealnie do mego pasował.

Wciąż uważała, że on natomiast nie pasuje do standardu lotu czarterowego. Chociaż z drugiej strony wyglądał na człowieka, który, gdy zachodzi taka potrzeba, umie sobie poradzić w dużo trudniejszych warunkach. Muskularne ramiona, silne ręce i płaski, twardy brzuch wskazywały na jego odporność fizyczną. W dawnych, kolonialnych czasach mógłby pracować w jakimś odległym zakątku imperium. Jej dziadek znał za młodu wielu takich ludzi i często jej o nich opowiadał.

- Skoro mamy tu stać przez godzinę, mogliby pozwolić nam wysiąść z samolotu - powiedziała Charlotte. - Ja przeżyję, ale panu, zdaje się, jest dość niewygodnie, prawda?

Uśmiechnął się do niej.

- Jakoś to zniosę.

Już w Londynie zwróciła uwagę, że pięknie się uśmiecha, ale teraz uśmiech skierowany był do niej i działał jeszcze bardziej zniewalająco.

Zapadło milczenie. Charlotte uznała, że teraz jego kolej wykonać jakiś ruch. Mógł ją na przykład zapytać, dokąd jedzie. Wszyscy mieli bilety do Male, ale większość pasażerów wybierała się dalej, na którąś z wysepek promowanych przez malediwski rząd lub biuro podróży.

Pewnie wcale go to nie interesowało. Odpowiedział grzecznie na jej pytanie, ale może woli kobiety, które czekają cierpliwie, aż mężczyzna zacznie z nimi rozmowę? A może ma żonę i nie interesują go inne kobiety?

Charlotte bez słowa obróciła się na pięcie i wróciła na swoje miejsce.

Po filmie wideo większość lampek do czytania zgasła. Pasażerowie skuleni pod cienkimi, pomarańczowymi kocami próbowali złapać trochę snu.

W rzędzie Charlotte jedno światło nie zgasło przez całą noc. Paliło się nad siedzeniem brodacza. Również sąsiedzi mogliby przy tym świetle czytać, ale wysoki Anglik skrzyżował ramiona na piersi, zamknął oczy i wyglądał, jakby zapadł w drzemkę. Nie przerwało to lektury jego sąsiada, który najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, że przeszkadza innym.

Charlotte co chwila się budziła. Niemal żałowała, że nie wzięła od Kay tabletki nasennej, którą jej proponowała, nim sama wyjechała do Sydney przez Tajlandię.

Ojciec chłopca siedzącego obok niej chrapał głośno, a sam chłopiec zdjął niestety tenisówki. Albo one, albo jego skarpetki zalatywały niezbyt miłym zapaszkiem.

Charlotte uśmiechnęła się pod nosem. Już widziała oczami wyobraźni, w jakich paskudnych nastrojach niektórzy współpasażerowie dotrą za kilka godzin na miejsce.

Przejedzeni i niedospani, będą wymagali delikatnego traktowania ze strony oczekujących ich tam przedstawicieli biur podróży.

Wiedziała z doświadczenia, że kiedy ludzie zaczną się budzić, przed sześcioma łazienkami ustawi się długa kolejka. Postanowiła więc nie czekać na to i od razu poszła umyć zęby.

Właśnie wróciła na miejsce, kiedy w drugim przejściu zauważyła wysokiego mężczyznę. Był świeżo ogolony, w ręce niósł mokry ręcznik. Kiedy przechodził nad swoim sąsiadem, który w końcu zasnął, Charlotte zauważyła, że zmienił spodnie na szorty i podkolanówki. Tak ubierali się mężczyźni w Sydney i na Bermudach, by dodać szortom nieco elegancji niezbędnej w bardziej formalnych sytuacjach.

Może jechał do Male z jakimś oficjalnym zadaniem rządowym?

Załoga samolotu właśnie roznosiła ręczniki. Zaraz po nich przyniesiono tace ze śniadaniami. Na każdej był omlet ze szpinakiem, szynka i ciepłe bułeczki.

Kiedy pilot ogłosił, że niedługo będą przelatywać nad jednym z atoli, chłopiec siedzący obok Charlotte przechylił się przez nią, żeby wyjrzeć przez okno. Kilka chwil później przed ich oczami roztoczył się wspaniały widok. Niegdyś, w pierwszych latach pobytu w szkole z internatem, oznaczał dla niej, że wkrótce będzie razem z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek naprawdę kochała. Tam, gdzie ocean był nieco płytszy, pobłyskiwała znajoma szmaragdowa zieleń.

W środku niektórych z takich plam zieleni pojawiało się piaszczyste nabrzeże. Kiedy indziej szalała tam roślinność, wśród której wyróżniały się zielone pióropusze palm.

Te żywe kolory i cieniste zarysy raf sprawiły, że w jej oczach zabłyśły łzy. Zamrugnęła powiekami, żeby je powstrzymać. Być może głupio jest reagować tak

emocjonalnie, ale o tej garści wysepek na Oceanie Indyjskim wciąż myślała jako o domu.

Przy wejściu na lotnisko, choć wciąż w cieniu jego portalu, Charlotte i reszta pasażerów spotkała się z wesołą Australijką. Kiedy wszystkie nazwiska zostały już odznaczone na liście, pilotka powiedziała:

- Witamy na Malediwach. Spodziewam się, że państwo jesteście zmęczeni po podróży. Już niedługo będzie okazja odpocząć na wyspie, gdzie zacumowała "Bryza". Właśnie pożegnałam się z grupą, która była na rejsie przed wami. Wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że to były wakacje ich życia. Jestem pewna, że za dwa tygodnie od państwa usłyszę to samo. Teraz szkuner jest w doku na przegładzie. Po południu będziecie państwo mogli wejść na pokład. Lunch podamy na wyspie. Można tam popływać albo poleżeć w cieniu i sączyć zimnego drinka. Teraz czeka nas zaledwie kilka kroków do promu, który zawiezie nas na wyspę. To bardzo blisko, ale może komuś z państwa trzeba pomóc w niesieniu bagażu?

- Mnie - oznajmiła blondynka na obcasach.

Charlotte już wcześniej zwróciła uwagę na jej bagaż. Wszystkich podróżnych ostrzegano, że trzeba się pod tym względem ograniczać, bo na statku nie ma zbyt wiele miejsca. Mimo to blondynka zabrała walizę nieludzkich rozmiarów. A nie zawsze pod ręką był wysoki Anglik, który pospieszyłby jej z pomocą.

- Oczywiście, pani Baker - powiedziała Australijka. - Ktoś jeszcze potrzebuje bagażowego?

Po drodze do nabrzeża, gdzie zacumował prom dhoni, Charlotte trzymała się z tyłu. Chciała przyjrzeć się ludziom, z którymi spędzi dwa następne tygodnie. Z doświadczenia wiedziała, że chociaż trudni podróżni dawali się poznać od razu, czasem niemożliwością było rozpoznanie

najsympatyczniejszych osób w grupie albo tych, którzy umieli zachować zimną krew w obliczu niebezpieczeństwa.

Podczas swojej pierwszej pracy na hiszpańskiej Costa Blanca nauczyła się nie oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia. Być może pani Baker, mimo złego gustu i zabrania ogromnej walizy wbrew zaleceniom biura podróży, posiada jakieś wspaniałe cechy ukryte pod maską niezbyt rozgarniętej blondynki.

Czekający na nich dhoni służył turystom, ale nie było na nim żadnych ławek do siedzenia. Pasażerowie odstawili bagaże, po czym wszyscy przeszli na rufę, skąd był lepszy widok. Przed ostrym słońcem chronił ich tylko płócienny daszek.

Charlotte szybko znalazła sobie w miarę wygodne miejsce. Oparła się plecami o swoją torbę podróżną. Na uszy nałożyła słuchawki.

Na tym etapie wakacji nie miała jeszcze ochoty na konwersacje z innymi pasażerami. Woląca posłuchać muzyki. I popatrzeć na znajome widoki bliższych i dalszych wysp, białych chmur wędrujących po błękitnym niebie ponad ciemniejszą o ton wodą. Ocean rozciągał się od wschodnich wybrzeży Afryki i łączył się z Morzem Andamańskim u zachodnich wybrzeży Tajlandii i Malezji.

Kiedy dhoni wreszcie ruszył, miła bryza od morza złagodziła nieco piekący upał równikowego poranka. Prom kołysał się trochę na falach wywołanych przez inne łodzie. Za każdym razem pani Baker piszczała.

Zdjęła szpilki i siedziała teraz z nogami i stopami wystawionymi na słońce. Paznokcie u stóp miała pomalowane na jaskrawy odcień różu, a lewą kostkę otaczał złoty łańcuszek. Miała jasnoróżową karnację i najwyraźniej nie używała kremu do opalania.

Charlotte nieraz już widziała, jak ludzie niszczyli sobie wakacje, nie słuchając ostrzeżeń dotyczących działania słońca na Karaibach czy w innych popularnych rejonach wakacyjnych. Nie mogła siedzieć cicho i patrzeć, jak blondynka spala sobie skórę. Właśnie miała jej coś na ten temat powiedzieć, kiedy ubiegła ją inna kobieta, ubrana rozsądnie w granatową, bawełnianą spódnicę i bluzkę z krótkimi rękawami. Posmarowała sobie twarz i ramiona olejkami z filtrem, po czym zaproponowała go pani Baker.

Nie tylko Charlotte unikała rozmowy. Brodacz, którego australijska pilotka nazywała profesorem Paddingtonem, czytał książkę, od której nie mógł się oderwać w nocy. Zaś wysoki Anglik, który nazywał się Richmond, słuchał kasety na jednym z tych drogich walkmanów, o jakiego kupnie Charlotte marzyła od pewnego czasu.

Ciekawa była, czego słucha. Nie włożył okularów przeciwsłonecznych i mrużył oczy w ostrym słońcu. Z jego oliwkową karnacją będzie pierwszym w grupie, który ładnie się opali.

Charlotte pamiętała głęboki kolor skóry dziadka, jak również jego gęste, siwe włosy i niebieskie oczy. Pamiętała, co znaczy być kochaną, chronioną i rozumianą. Czy jeszcze kiedyś będzie się tak czuła?

Świat był pełen mężczyzn. Wielu z nich jej się podobało. Często z wzajemnością. Jednak na ogół szukali oni tylko przelotnego romansu. Inni wybierali wariant przewidujący spokojne życie gdzieś na przedmieściach. Dla niej przewidziana była rola, która łączyła w jedno gospodynię, niańkę i psychoterapeutkę. Żaden z mężczyzn nie zaoferował jej tego, czego chciała: miłości, bezwzględnego oddania, radości, przygód. Być może, żądała zbyt wiele.

Po raz pierwszy ujrzeli statek, mający być ich domem przez najbliższe dwa tygodnie, kiedy dhoni dopływał do wyspy, na której mieli zjeść lunch.

Jako pierwszy "Bryzę" zobaczył Richmond zaopatrzony w lornetkę. Z daleka łódź prezentowała się bardzo atrakcyjnie. Miała biały kadłub i zielono - biały płócienny daszek rozpięty nad pokładem.

Kiedy dhoni płynął wijącym się korytarzem między rafami, można było obserwować ludzi siedzących na plaży, w barze pod palmami. Czterech młodych mężczyzn grało w ringo. Pół tuzina innych, ciemnoskórych, którzy mogli pochodzić z wyspy albo byli imigrantami ze Sri Lanki lub Bangladeszu, czekało na molo, żeby pomóc nowo przybyłym przenieść bagaże.

Charlotte i Richmond wpadli na ten sam pomysł: chcieli poczekać, aż wszyscy inni zejdu z pokładu dhoni. Ponieważ Anglik zachował się niezbyt przyjacielsko w Nairobi, Charlotte powiedziała tylko chłodne „dziękuję”, kiedy przepuścił ją przodem.

Jeden z bagażowych zaoferował pomoc. I chociaż jej nie potrzebowała, uśmiechnęła się i pozwoliła mu wziąć walizkę, mówiąc:

- Shukaria.

Zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo potrzebny mu zarobek. Ruszyła za nim w stronę budynku recepcji. Dogonił ją Richmond.

- Co to było za słowo, którego pani użyła? - zapytał.

- Shukaria... czyli dziękuję. Zwykle przed wakacjami uczę się kilku podstawowych słów w miejscowym języku.

Nie zamierzała się przyznać, że od dzieciństwa mówi w dhivehi, języku używanym na Malediwach.

- Świetny pomysł - odparł jej rozmówca.

Nie powierzył swojej torby bagażowemu. Zastanawiała się, czy to dlatego, że nie chciał dać dolara napiwku, czy też nie lubił, gdy ktoś robił za niego coś, co mógł sam zrobić.

W holu recepcji poczęstowano ich sokiem z papai. Podano go w wysokich szklankach udekorowanych białymi kwiatami jaśminu i plasterkami kokosa. Śliczna recepcjonistka władająca biegle angielskim rozdała im ręczniki plażowe i talony na lunch w jadalni. Wyjaśniła też, że cenne rzeczy można zostawić w sejfie, a bagaż, którego nie planowali zabrać w rejs - w specjalnej przechowalni.

Rozejrzała się dookoła i wskazała na walizę pani Baker.

- Ta walizka jest za wielka, żeby ją wziąć na pokład, ale będzie zupełnie bezpieczna tutaj.

W tym momencie zawołano ją na zaplecze.

- Co ona miała na myśli? - zapytała właścicielka walizki.

- Muszę wziąć swój bagaż na pokład. Przecież tam są wszystkie moje ubrania.

- Nie będzie pani potrzebowała zbyt wielu ubrań - wyjaśnił siwowłosy mąż kobiety w granatowej spódnicy. - Ze dwie pary szortów i jeden czy dwa podkoszulki w zupełności wystarczą.

Blondynka wyglądała na zaszokowaną.

- Dwie pary szortów... na dwa tygodnie?!

- Wyprane wyschną w minutę - tłumaczyła żona siwowłosego. - Nie zauważyła pani rozwieszzonego na pokładzie prania załogi?

- Nie zamierzam zajmować się praniem. Zabiorę brudne rzeczy do domu i wrzucę do pralki po powrocie - odparła blondynka. - Przecież wszystkie kabiny są podwójne, prawda? Walizka zmieści się akurat na wolnej koi. - Przerwała, a po chwili zastanowienia podzieliła się z innymi swoimi przemyśleniami:

- A co z luksusowymi wyspami i dyskotekami? Przecież trzeba będzie się odpowiednio ubrać.

- Dyskoteki to raczej nie jest miejsce dla nas. Zostawimy je młodszym - odparta grzecznie kobieta w granatach i odwróciła się z uśmiechem w stronę Charlotte: - Nazywam się Janet, a mój mąż Bill. Chyba nie musimy zawracać sobie głowy nazwiskami, prawda?

Kiedy Charlotte się przedstawiła, Janet odwróciła się do profesora, który znowu pogrążony był w lekturze. Nie zbita z tropu dotknęła lekko jego ramienia.

- Właśnie się przedstawiamy. Mam nadzieję, że pozwoli pan mówić do siebie po imieniu?

- Nie, ale tylko dlatego, że nie przepadam za swoim imieniem, którym obdarowali mnie rodzice. Proszę zwracać się do mnie tak, jak nazywają mnie studenci, czyli Prof.

Richmond miał na imię Dean. Przedstawił się i powiedział, że idzie się wykąpać.

Charlotte zapakowała kostium kąpielowy do torby podręcznej, więc kilka chwil później siedziała już zanurzona po szyję w morzu, które było przejrzyste jak szkło, a temperaturą przypominało letnią kąpiel. Podobnie jak w wannie, zaraz poczuła się zrelaksowana i zapomniała o niewygodach długiego lotu. Popływała trochę, podryfowała na plecach i wróciła w cień drzew rosnących z tyłu plaży.

Kiedy się wycierała, podeszła do niej Liz, australijska pilotka.

- Jak kąpiel?

Charlotte kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

- Rewelacyjne remedium na zmęczenie podróżą i zmianę strefy czasowej.

- A gdzie pan Richmond? Czy to on pływa tam z fajką?

- Nie wiem. Być może.

- Czy państwo się pokłóciliście?

- Pokłóciliście? - powtórzyła, nic nie rozumiejąc, Charlotte.

- To się przecież zdarza. Długi lot z Londynu wielu potrafi wyprowadzić z równowagi. A on jest roslym mężczyzną i na pewno wymęczył się, siedząc przez wiele godzin w niewygodnej pozycji.

- To prawda, jest wysoki, ale na moje oko zniósł podróż całkiem nieźle. Siedział w tym samym rzędzie co ja. Mieliśmy miejsca przy oknach.

- Nie siedzieli państwo razem? - krzyknęła Liz. - Czy to nie straszne?! Stewardesy powinny to załatwić.

- Myśmy nie chcieli siedzieć razem. Nie znamy się - wyjaśniła Charlotte.

- Nie? O rany, to tym gorzej! - Liz jęknęła i złapała się za głowę.

- Nic nie rozumiem - powiedziała Charlotte.

- Miałam nadzieję, że po prostu państwo się pokłóciliście. Jakoś mi się jednak nie chciało wierzyć, że przestaliście w ogóle ze sobą rozmawiać. Oboje robicie wrażenie rozsądnych, dojrzałych ludzi - zaczęła. - A z drugiej strony nie mogłam uwierzyć, że Londyn mógł tak wszystko pomieszać w rezerwacjach. To najgorsza łamigłówka, jaką musiałam kiedykolwiek rozwikłać.

Charlotte nie raz musiała rozwiązywać różne łamigłówki. Zapytała więc spokojnie:

- W czym problem?

- W tym... - Australijka przerwała na chwilę i wzięła głęboki oddech. - Ktoś wziął panią i Deana Richmonda za parę. I zarezerwował wam wspólną kabinę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Charlotte zamrugała powiekami, kompletnie osłupiała.

- Poważnie? Jak, u licha, coś takiego mogło się w ogóle stać?

- Proszę mnie nie pytać. Podobno pomyłka komputera.

- Komputery się nie mylą - stwierdziła zgryźliwie Charlotte. - Natomiast ludzie, którzy ich używają, tak. - Przerwała, a po chwili dodała, chcąc złagodzić szorstkość wypowiedzi: - Liz, zdaję sobie sprawę z tego, że to nie twoja wina. Niestety, to ty musisz jakoś rozwiązać ten problem. Co zamierzasz?

- Niewiele można zrobić. Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie. Czy zgodzi się pani zamieszkać w jednej kajucie z panią Baker?

- Nie - odparła bez chwili zastanowienia Charlotte. - Przykro mi, ale nie ma mowy! Zresztą, nawet gdybym ja się na to zgodziła, obawiam się, że ona by odmówiła. Zamierza wykorzystać wolną kaję jako miejsce przechowywania swojej przeogromnej walizy. Może pan Richmond zgodzi się zamieszkać z profesorem. Albo na odwrót.

- Dobrze - powiedziała zrezygnowana Liz. - Jeśli nie ma szansy, by zmieniła pani decyzję, będę musiała poprzemknąć mężczyzn.

- Najmniejszej - zapewniła ją Charlotte. - Gdyby to Janet podróżowała samotnie, rozważyłabym poważnie możliwość dzielenia z nią pokoju. Ale nie z panią Baker. Łączy nas jedynie płeć i narodowość, a to za mało, by mieszkać razem w małej kajucie przez dwa tygodnie. Pewnie panom też się to niezbyt spodoba, ale na pewno nie będą sobie działać na nerwy tak bardzo, jak my.

Liz przyznała, że Charlotte prawdopodobnie ma rację.

- Poszukam ich i porozmawiam. Miejmy nadzieję, że do lunchu problem będzie rozwiązany.

Charlotte splukała sól z włosów pod prysznicami w publicznej łazience.

Sally i Kay nosiły krótkie włosy. Nie raz rozmawiały z Charlotte o tym, że powinna obciąć swoje, zwłaszcza że większość czasu spędzała w gorącym klimacie. Ona odpowiadała na to, że krótkie włosy wymagają regularnego strzyżenia u dobrego fryzjera, a ona nigdy nie mogła być pewna dnia ani godziny, skoro była do dyspozycji na każde skinienie i telefon od turystów. Uznała, że włosy do ramion są równie praktyczne. Jej były grube i proste. Dla ochłody nosiła je spięte na karku. Z rzadka, kiedy chciała wyglądać wytworniej, upinała je wyżej.

Stała właśnie na progu plażowego baru i zobaczyła machających zapraszająco Janet i Billa. Ponieważ chciała uniknąć sytuacji, w której Bill zamówiłby jej coś do picia, dała im znak, że za chwilę do nich dołączy.

Nad barem wisiały listy egzotycznych koktajli, alkoholów, różnych gatunków piw i zimnych napojów. Charlotte zamówiła sok z guawy, który podano w puszcze, bez szklanki. Zapłaciła, otworzyła puszkę i wzięła słomkę z wiązki w dużym kuflu. Ruszyła do stolika Janet i Billa.

Miło się z nimi rozmawiało. Byli wesołą, zadowoloną z życia parą, której wystarczyłoby własne towarzystwo, ale lubili też poznawać nowych ludzi. Charlotte przypuszczała, że są małżeństwem od dawna i pewnie dochowali się sporej gromadki równie radosnych dzieci.

Charlotte oceniała Billa na niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Zdziwiła się, kiedy nie chciał zdradzić, czym się zajmuje. Zwykle była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie ludzie o sobie mówili. Być może kryła się za tym jakaś zagadka.

- Ostatnio zawsze jeździmy na wakacje zimą - opowiadała Janet. - To sensowniejsze niż letnie wyjazdy. Kiedy dzieci chodziły do szkoły, nie mieliśmy wyboru, ale teraz jest

inaczej. A czy ty, Charlotte, byłaś już kiedyś na takich wakacjach?

- Nie, nigdy - odpowiedziała zgodnie z prawdą Charlotte. Postanowiła już wcześniej, że jeśli ktoś zapyta ją o to, czym się zajmuje, powie, że pracuje w biurze. Nie byłoby to nawet duże kłamstwo. A ponieważ większość ludzi interesuje się bardziej sobą niż innymi, prawdopodobnie nie padną dalsze, drążące pytania.

Podeszła do nich Liz.

- Proszę nie wstawać, panie Warren - powiedziała, po czym zwróciła się do Charlotte: - Czy mogę prosić na słówko?

Charlotte przeprosiła Janet i Billa i poszła z Liz w daleki kąt baru, gdzie były dwa wolne miejsca z dala od innych. Liz dała znak barmanowi, że nie chce nic do picia.

- Rozmawiałam z oboma panami - zdała relację Charlotte.
- Profesor nie ma nic przeciwko wspólnej kajucie, natomiast pan Richmond tak.

- Dlaczego? - zapytała Charlotte.

- Stwierdził tylko, że to niedobry pomysł. Może czuje w stosunku do profesora to samo, co pani w stosunku do Diane Baker.

Charlotte zastanowiła się nad tym, co by zrobiła, będąc na miejscu Liz? Pewnie wysłałaby faks do biura w Londynie, sugerując, że jednemu z czwórki podróżujących samotnie należałoby zaproponować coś innego zamiast rejsu, na przykład dwa tygodnie w luksusowych warunkach na jednej z wysp. Jednak jeśli Liz tak właśnie zrobi, ktoś zauważy, że Charlotte przyjechała na rejs, płacąc mniej. Prawdopodobnie to ona musiałaby zrezygnować z wyjazdu na rzecz innych turystów, którzy zapłacili pełną stawkę.

- A może pani porozmawia z panem Richmondem? Mało jest mężczyzn, którzy potrafią odmówić atrakcyjnej dziewczynie, kiedy wykorzysta wszystkie swoje uroki.

- Czyżby? Jestem pewna, że ty bardzo się starałaś, a jakoś nie dał się przekonać - stwierdziła rzeczowo Charlotte.

- Nie jestem w jego typie. Może pani jest?

- Wątpię. Rozmawiałam z nim w nocy w samolocie. Nie był specjalnie miły.

- Być może był zdenerwowany. Wiele osób źle znosi podróże. Stopniowo się potem rozluźniają, a pod koniec wakacji zachowują się jak zupełnie inni ludzie. W niczym nie przypominają tych formalistów wietrzących we wszystkim podstęp i doszukujących się dziury w całym, którzy wysiedli z samolotu.

Charlotte przypomniała sobie pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Dean Richmond. Pomyślała wtedy, że wygląda na kogoś, kto podróżuje pierwszą klasą, gdzie ma dość miejsca na swoje długie nogi i zapewnione wszelkie wygody.

Być może jego szorstkość w Nairobi to nie była reakcja na nią, ale na życiowe okoliczności. Może stracił pracę albo kobietę, którą kochał, albo zamartwiał się o chorego rodzica.

A może po prostu nienawidził latania. Kay miała kiedyś narzeczonego, który nie myślał o niczym innym, tylko o wspinaniu się na pionowe skały, a kiedy leciał samolotem, był błydy ze strachu.

- Dobrze, porozmawiam z nim - zgodziła się.

- Jest tam. - Liz wskazała na molo. - Karmi ryby. Charlotte wróciła do stolika i pożegnała się z Warrenami.

Byli ciekawi, co się dzieje, ale postanowiła niczego nie wyjaśniać.

Wzięła puszkę z sokiem i poszła na plażę. Zrzuciła klapki i ruszyła brzegiem, co chwilę omywana falami, które chłodziły rozgrzany biały piasek.

Dean Richmond siedział na krawędzi mola. Nie zauważył jej nadejścia, bo był zbyt zajęty kotłowaniną w wodzie, wzbudzaną każdym wrzuconym do niej kawałkiem chleba.

Przez kilka minut stała w milczeniu za nim, przyglądając się znajomym kształtom i kolorom ryb. Myślała o Maniku, chłopcu z wyspy, z którym spędziła niezliczone godziny na ich oglądaniu. Co się z nim teraz dzieje? Czy się ożenił i ma dużą rodzinę, z którą rzadko przebywa, bo pływa na singapurskim statku handlowym?

W dzieciństwie byli bliskimi przyjaciółmi. Niemal jak brat i siostra. A teraz pewnie by się nawet nie rozpoznali. On pewnie zmienił się mniej niż ona. Gdy miał trzynaście lat, już był niemal mężczyzną, podczas gdy Charlotte, dwa lata młodsza od niego wciąż, była niedojrzałym dzieckiem. Mimo długich włosów wyglądała niemal jak chłopiec. Którym zresztą wtedy wolałaby być.

Otrząsnęła się z zamyślenia i przerwała ciszę.

- Czy mogę zająć panu chwilę, panie Richmond? - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Proszę nie wstawać - zastrzegła szybko, widząc, że ma taki zamiar. - Ja usiądę, jeśli pan pozwoli.

Nic na to nie powiedział, więc uznała to za milczące przyzwolenie. Przysiadła na brzegu mola jakiś metr od niego.

- Przyszłam pana o coś poprosić. Jak już mówiła Liz, ktoś pokręcił coś z rezerwacjami, w związku z czym dwoje z naszej czwórki musi zamieszkać w jednej kabinie. Diane Baker ma za towarzyszkę ogromną walizę, a poza tym ona i ja nie nadajemy na tych samych falach, więc miałam nadzieję, że pan i profesor nam pomożecie.

Richmond pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie.

- Ależ dlaczego? Żaden z was nie jest obarczony górą bagażu. Poza tym nie wątpię, że łączy was więcej niż mnie i panią Baker.

- A skąd takie domniemanie? - zapytał.

- Wydaje mi się, że możecie pochodzić z podobnych środowisk. Na oko wasza dwójka ma wiele wspólnego. Więcej niż ktokolwiek inny w grupie.

Richmond uniósł brew.

- Tak pani uważa? Kiepska z pani obserwatorka. - Miała go zapytać, co ma na myśli, ale nie dopuści! jej do słowa. - Już powiedziałem Liz, że nie będę mieszkał z profesorem. Zdaje się, że pani też zdecydowanie nie chce dzielić kajuty z panną Baker. Jest jeszcze jedno wyjście.

- Jakie?

- Pani i ja w jednej kajucie. Co pani na to?

Rzadko się zdarzało, żeby Charlotte zapomniała języka w gębie. Jednak tym razem milczała przez jakieś pół minuty. Zanim zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, Richmond znowu się odezwał.

- Nie liczę na to, że koje na szkunerze będą wygodne, zwłaszcza dla kogoś o moich gabarytach. Dlatego zamierzam nocować na pokładzie. Jeśli zostawię pani kajutę na wyłączność nocami, to czy zgodzi się pani, bym dzielił ją z nią w ciągu dnia i korzystał z łazienki?

Charlotte również planowała spać pod gwiazdami. W tym celu wzięła nawet ze sobą dmuchany materac. W broszurce dotyczącej rejsu przeczytała, że każdy, kto będzie miał ochotę spać na pokładzie, dostanie materac, ale podejrzewała, że będą to tylko cienkie karimaty. Dlatego się zabezpieczyła.

Przypomniała sobie o decyzji, jaką musi podjąć.

- A co pan zrobi, jeśli pogoda się popsuje? - zapytała. - Jeśli przyjdzie deszcz albo szkwał? To się nieczęsto zdarza o tej porze roku, ale nie jest niemożliwe.

W rzeczywistości to było bardzo mało prawdopodobne. Pora roku, nazywana na Malediwach dinasha, była sucha i dobra do połowów ryb.

- W takim wypadku będę musiał spać w salonie - odparł bez dłuższego zastanowienia Dean Richmond, i zaraz dodał:

- Nie musi pani odpowiadać od razu. Wchodzimy na pokład dopiero po południu. Proszę o tym pomyśleć podczas lunchu.

- Giętkim ruchem podniósł się i stanął nad nią. - Jeśli się pani nie zgodzi, będziemy losować. Ten, kto wyciągnie krótszą zapalkę, nie płynie w rejs. Jestem pewien, że biuro podróży zaproponuje jakąś rekompensatę. W końcu to wszystko ich wina. Do zobaczenia później.

Skinął głową i odszedł, zostawiając Charlotte samą.

Po dłuższej chwili dołączyła do niej Liz.

- Jak poszło? - skierowała pytanie do Charlotte.

- Nie udało mi się go namówić na mieszkanie z profesorem.

Kiedy powiedziałam, że nadają na tych samych falach, zaprotestował. Stwierdził, że kiepska ze mnie obserwatorka. O co mu mogło chodzić?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Liz. - Może jeden pali papierosy, a drugi nie? To często powoduje konflikt. W każdym razie musi w nim być coś, co nie spodobało się Deanowi Richmondowi. I co teraz robimy?

Najwyraźniej nigdy nie musiała rozwiązywać takiego problemu. Charlotte zresztą też nie, chociaż słyszała kilka razy o podobnych wypadkach. Przedstawiciele tanich biur musieli nieraz szukać nowych miejsc dla turystów, którym zamówiono pokoje w przepelnionych hotelach. Tutaj jednak problem polegał na czym innym.

- A jak wygląda sprawa kwater załogi? Może dwoje z nich mogłoby mieszkać razem? - zasugerowała. Wiedziała, że załoga składa się z kapitana, kucharza i trzech ludzi na pokładzie.

- Są tylko dwie służbowe kajuty. Jedną zajmuje kapitan - wyjaśniła Liz. - Podobno załoga śpi przeważnie na pokładzie. Nie widziałam ich kabin, ale pewnie są dużo gorzej wyposażone niż pasażerskie. Nie podejrzewam, żeby były tam elektryczne wentylatory. W dodatku są położone zaraz koło kuchni. Europejczycy czuliby się tam jak w saunie. - Liz zamyśliła się, po czym ciągnęła dalej: - Wygląda na to, że ktoś będzie musiał zostać na lądzie. Pytanie tylko: kto? Może pani Baker się zgodzi, jeśli zorganizuje się jej pobyt na jednej z modnych wysp. Teraz jest dużo wolnych miejsc, bo ludzie jakoś niechętnie tu przyjeżdżają tej zimy. A pani Baker nie wygląda mi na zamiłowaną żeglarzkę. Może bardziej spodoba się jej Kurumba albo Bandos.

- Może tak, a może nie. A co będzie, jeśli wywoła wielką awanturę i zrobi twojej firmie złą prasę w brukowcach lub telewizji?

Gdyby tak się potoczyły sprawy, dla jej własnej kariery zawodowej też nie byłoby to zbyt dobre. W końcu sama pracowała w tym biurze.

Zanim Liz coś powiedziała, Charlotte dodała:

- Pan Richmond zaproponował coś innego... żebym dzieliła kajutę z nim.

Australijka spojrzała na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

- To dowcip? Słyszałam o szybkich facetach, ale żeby aż tak! To absolutny rekord. Co pani mu na to powiedziała?

- Zastanawiam się jeszcze. On nie zamierza spać w kajucie, tylko chce tam trzymać swoje rzeczy i korzystać z łazienki. W końcu łazienki w samolotach i domach prywatnych też są koedukacyjne.

- Myśli pani, że rzeczywiście można mu wierzyć na słowo? - zapytała Liz. - Przystojniak z niego. Przyglądałam

mu się dziś rano na dhoni. Pomyślałam, że gdybym miała trafić na bezludną wyspę, to tylko z takim facetem jak on.

- Na wakacyjny romans to, zdaje się, liczy pani Baker - zażartowała Charlotte. - Ja przyjechałam ponurkować. Zresztą nie podejrzewam, żeby jego propozycja była dwuznacznej natury. Jeśli o mnie chodzi, jestem gotowa iść na taki układ. Martwi mnie tylko jedno: co sobie pomyślą inni pasażerowie?

- Biorę to na siebie - powiedziała szybko Liz. - Wyjaśnię im, że pokrecono rezerwacje, a ponieważ oboje państwo i tak planowaliście spać na pokładzie, uprzejmie zgodziliście się dzielić kajutę. Nie podejrzewam, żeby ktoś się nad tym specjalnie zastanawiał. Gdyby pani pracowała w moim zawodzie, wiedziałaby pani dobrze, że większość ludzi myśli tylko o własnej wygodzie.

Charlotte uśmiechnęła się pod nosem, bo te słowa jak echo wtórowały jej wcześniejszym myślom.

- Chyba masz rację - przyznała na głos.

- Na pewno - zaznaczyła z emfazą Liz. - Mało kto nie może spać spokojnie, bo ktoś inny musi spać w hamaku zjadany żywcem przez komary. Nie obchodzi ich to dopóty, dopóki sami mają wygodne łóżko w klimatyzowanym pokoju. A teraz - dodała, spoglądając na zegarek - najwyższy czas na lunch. Pokażę pani drogę.

Zaprowadziła ją do ukrytej pod palmami jadalni. Stoliki w większości zastawione były dla czterech lub sześciu osób.

- Pójdę po pozostałych - wyjaśniła Liz i zostawiła Charlotte samą.

Charlotte usiadła i dopiła sok. Wciąż się zastanawiała, dlaczego zgodziła się na idiotyczną propozycję Deana Richmonda.

W pobliżu dwie kelnerki rozmawiały w języku dhivehi. Prawdopodobnie były to imigrantki ze Sri Lanki, gdzie kwitnącą kiedyś turystykę zniszczyły zawirowania polityczne.

Charlotte chętnie spędziłaby trochę czasu w tym ciekawym kraju, ale jej biuro już nie wysyłało tam turystów.

Jej rozmyślania przerwał widok Liz prowadzącej resztę grupy. Poza Janet i Billem Warrenami były wśród nich jeszcze dwie inne pary, których dotąd nie poznała.

Obok niej usiadła Diane Baker.

- Gorąco, prawda?

Przebrała się w króciutkie, białe szorty i obcisły, różowy top, który uwydatniał jej pełny biust.

- Tak, bardzo - odparta Charlotte. - Jesteśmy blisko równika.

- Naprawdę? - zauważyła grzecznie Diane z taką miną, jakby pierwszy raz słyszała o jego istnieniu.

Charlotte zachodziła w głowę, dlaczego Diane wybrała ten rodzaj wakacji. Zatłoczone plaże i dyskoteki Miami czy Costa del Sol to była, zdaje się, odpowiedniejsza dla niej sceneria.

Diane pochyliła się w jej stronę i powiedziała konfidencyjnym szeptem:

- Myślałam, że będą młodszy. A ta banda nie wygląda na specjalnie ekscytującą, prawda? Ale ten jest w porządku: - Wskazała na Deana Richmonda. - Podoba mi się. Pomógł mi nieść bagaż na lotnisku. Ale ten drugi jest za stary, poza tym nie lubię brodatych mężczyzn. A ty?

Charlotte wzruszyła tylko ramionami.

- Mam nadzieję, że załoga będzie w porządku - mruknęła Diane.

- To miejscowi - wyjaśniła Charlotte.

- To mi nie przeszkadza. Chodziło się do szkoły z różnymi. .. Hindusami, Jamajczykami, Chińczykami. Kolor skóry nie ma znaczenia, jeśli ludzie są w porządku.

- Zgadza się, ale prawdopodobnie wszyscy członkowie załogi są żonaci. Tutaj mężczyźni szybko się żenią.

- Czy ty już tu kiedyś byłaś?

Charlotte nie musiała na szczęście odpowiadać, bo Liz zastukała właśnie łyżeczką w szklankę, żeby zwrócić uwagę grupy.

- Panie i panowie. Mam kilka ważnych ogłoszeń. Jeśli podczas rejsu będą państwo chcieli skontaktować się ze mną, można zadzwonić z którejś wyspy. Gdyby mnie nie było na miejscu, proszę zostawić wiadomość. „Bryza” jest wyposażona w radio, z którego można skorzystać w nagłych wypadkach. Kapitan szkunera to doświadczony marynarz, który zna wyspy i rafy tak dobrze, jak własną kieszeń.

- Jak należy postąpić, gdyby był jakiś wypadek albo ktoś by się rozchorował? - zapytał jeden z mężczyzn, których Charlotte jeszcze nie poznała.

- Kapitan wie, co robić w takiej sytuacji, panie Neasden. Popłyniecie do najbliższej wyspy, a na wszystkich większych są punkty pierwszej pomocy. W przypadku poważniejszego wypadku można ściągnąć helikopter. Szpital jest w Male. - Liz przerwała na chwilę, czekając na kolejne pytania. Ponieważ ich nie było, ciągnęła dalej: - Mielśmy pewien problem, ale dzięki przychylności i pomocy pani Perivale... - Liz posłała Charlotte uśmiech... - i pana Richmonda udało się go rozwiązać. W wyniku pomyłki kogoś w Londynie na rejs przyjechała jedna osoba za dużo... albo mamy o jedną kajutę za mało. W każdym razie jedno z drugim nie chciało się zgodzić. Ponieważ pani Perivale i pan Richmond i tak planowali spać na pokładzie, zgodzili się uprzejmie umieścić swoje rzeczy w jednej kajucie i korzystać z tej samej łazienki.

- Czemu pan na to przystał? - zapytał Neasden Deana Richmonda. - Ja bym na pana miejscu zażądał rekompensaty. Te biura podróży robią z nami, co chcą! Nic nie tłumaczy takiego bałaganu. Znam faceta, który pojechał na wakacje na Wyspy Kanaryjskie. Okazało się, że jego hotel stał obok placu budowy, na którym koparki pracowały dzień i noc.

- Stanley, daj spokój... - poprosiła nieśmiało jego żona. Nie zwrócił na nią uwagi i dalej opowiadał o nieudanych wakacjach jego znajomych. Nawet jeśli opowieści były prawdziwe, to i tak nie był to temat zbyt porywający. Zwłaszcza dla tych, którzy właśnie sami wybierali się na urlop.

Charlotte знаła ten typ ludzi. Można było mieć stuprocentową pewność, że Stanley Neasden znajdzie we wszystkim wadę czy błąd.

Trzecia para wyglądała weselej niż Neasdenowie. Charlotte słyszała, jak przedstawiali się Janet i Billowi, koło których siedzieli. Nazywali się Vic i Olly. Vic był londyńskim taksówkarzem, a Olly, pulchna brunetka, pracowała w salonie fryzjerskim na West Endzie.

Kiedy tylko Dean Richmond znalazł się poza zasięgiem głosu, Diane wyrwała ją z zamyślenia:

- Pewnie jesteś zachwycona, co? Niezły start. W jednej kajucie, nie ma co! - zauważyła przyjacielskim tonem zabarwionym szczyptą współzawodnictwa, co potwierdziła, dodając: - Ale to ja wypatrzyłam go pierwsza. To jedyny facet w odpowiednim wieku, więc nie zamierzam stać z boku i patrzeć, jak go sobie zgarniasz. Nic z tych rzeczy! Nie po to jechałam tak daleko i wydałam tyle pieniędzy, żeby teraz samotnie wzdychać do księżycy.

- A skąd wiesz, że on jest w ogóle zainteresowany którąkolwiek z nas? Może oszczędza się dla jakiejś pięknej włoskiej signoriny albo skandynawskiej instruktorki nurkowania? Mamy sporą konkurencję.

- E, to może później. Ale na razie na pokładzie jesteśmy my dwie. A dwa wróble w garści to dziesięć kanarków na dachu. Zakładam się, że zainteresuje się któraś z nas.

Charlotte miała ochotę zaproponować, żeby go sobie w takim razie wzięta. Ugryzła się jednak w język, bo przecież

Dean Richmond nie był jej zupełnie obojętny. Zamiast tego powiedziała więc:

- Wiesz, Diane, wydaje mi się, że rejs na szkunerze to nie jest idealna sceneria dla wakacyjnego romansu. Będziemy jeść posiłki razem, razem schodzić na ląd. Piętnastka ludzi na pokładzie tak małej łodzi jak „Bryza” to już spory tłum. Nie licz na prywatność. A teraz chyba powinnyśmy stąd ruszać. Niedługo wchodzimy na pokład.

Wychodząc z jadalni, Diane dodała jeszcze:

- Mam nadzieję, że cię nie obraziłam. Nie miałam takiego zamiaru. Lubię cię. Jesteś miła. Jednak w sytuacji niedoboru facetów każda pracuje na siebie. Chyba jasno postawiłam sprawę, prawda?

- Oczywiście. Rozumiem - odarła Charlotte.

W bezpośredniości Diane było coś rozbrajającego.

Rozstały się po chwili, bo Diane chciała iść do łazienki, żeby poprawić makijaż. Charlotte zaczęła się zastanawiać, po co ona wybrała się na te wakacje. Powtarzała sobie, że chodzi o aklimatyzację przed rozpoczęciem nowej pracy, ale wiedziała, że przygnała ją tutaj głównie nostalgia. Wciąż myślała o tych odległych atolach, które widziane z lotu ptaka wyglądały niczym naszyjnik z turkusów rzucony niedbale na pomarszczony, błękitny jedwab.

Londyn nie był dla niej domem i nigdy nim nie będzie. Być może, gdyby mogła sobie pozwolić na duże mieszkanie z widokiem na Tamizę, Hudson czy Sekwanę, przyzwyczałałaby się do życia w dużym mieście. Jednak tak naprawdę potrzeba jej było morza.

Ktoś przerwał jej zamyślenie.

- Fale rozbijające się o rafę ryczą jak startujący samolot. Obok niej stał Dean Richmond. Ręce miał w kieszeniach, szare oczy nie odrywały się od długiego szeregu białych fal tworzących się na linii ukrytej bariery z koralu. Był to

zewnątrzny pierścień rafy otaczający wszystkie wyspy w tym atolu.

- Albo jak szum samochodów w pobliżu Hyde Parku - dodała Charlotte.

Czasem w letnie popołudnia wylegiwała się tam na słońcu razem z Kay. Próbowaly wtedy udawać, że hałas tysięcy pojazdów to huk morza na rafach dookoła Thabu.

- Mieszkasz koło Hyde Parku? - zapytał.

- Dość blisko. Dwie moje koleżanki i ja wynajmujemy jedno piętro domu niedaleko Portobello. A ty mieszkasz w Londynie?

- Mam tam drugi dom. Co się stało? - zapytał, widząc, że Charlotte nagle zaczęła się dziwnie zachowywać. Ze świstem wciągnęła powietrze do płuc. Była to reakcja na szok.

Biay kadłub „Bryzy” wyciągnięty był na piasek bardzo blisko miejsca, gdzie stali. Obok kręciło się dwóch mężczyzn: jeden niższy, szczupły, ciemnoskóry, drugi był wyższy i miał jaśniejszą skórę.

Niższego nigdy wcześniej nie widziała, ale drugiego znała doskonale. Rozpoznałaby go wszędzie. To był Manik, jej przyjaciel z lat dziecięcych.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zbliżał się do nich, rozmawiając ze swoim kolegą. Wydawało się, że obaj miną ich, nie rzucając nawet okiem na dwoje Europejczyków.

Manik sam był półkrwi Europejczykiem, synem Norwega, którego jacht dalekomorski osiadł na mieliźnie w pobliżu Malediwów podczas czerwcowego sztormu. Natomiast jego piękna i inteligentna matka była najmłodszą córką kateeba, wodza wyspy. Wydziedziczona przez ojca za romans z cudzoziemcem, prowadziła później dom dziadka Charlotte. Umarła, kiedy jej syn miał dziewięć lat. Charlotte pamiętała ją bardzo słabo.

Teraz, kiedy Manik był już blisko, widziała, że wyrósł z niego wyjątkowo przystojny mężczyzna. Nie był tak wysoki jak towarzyszący jej Anglik, ale zdecydowanie wyższy niż większość tubylców.

Przechodząc o jakieś trzy metry od dwójki Anglików, Manik podniósł nagle głowę i spojrzał na Charlotte. Ich oczy spotkały się na sekundę czy dwie. A wtedy, kiedy właśnie miała się odezwać, Manik przeniósł spojrzenie swoich złotobrzązowych oczu na jej towarzysza, któremu skinął uprzejmie głową.

Charlotte wiedziała, że Manik jej nie rozpoznał. Jej widok nie obudził w nim żadnych wspomnień.

- Nie zdziwiłbym się - usłyszała głos Richmonda - gdyby wyższy z dwóch mężczyzn, którzy nas właśnie minęli, był naszym kapitanem.

- A skąd taki pomysł?

- Miał na sobie dzinsy i porządną koszulę, a nie podkoszulek. A poza tym nie wyglądał mi na prostego marynarza. Zwykle zdolności przywódcze i umiejętność podejmowania decyzji dadzą się rozpoznać u mężczyzn

równie łatwo, jak dobra natura u kobiety. I równie trudno to zdefiniować.

- Jest pan psychologiem z zawodu, panie Richmond?
Roześmiał się.

- Niech Bóg uchroni! - Wciąż rozbawiony, Richmond spojrział na nią uważnie. - Skoro mamy mieszkać w jednej kajucie, to może mówilibyśmy sobie po imieniu? Ja jestem Dean. A ty?

- Charlotte.

- Pływałaś już kiedyś?

- Trochę. Na dużo mniejszych łodziach. A ty?

- Kiedyś pływałem z kolegą na żaglówce. Mieliśmy wtedy po kilkanaście lat. Od tamtej pory niewiele. Zresztą kapitan „Bryzy” pewnie wolałby, żeby pasażerowie zajmowali się swoimi sprawami i nie wtrącali do zadań załogi.

- Niewątpliwie masz rację.

- Lubisz podróżować, prawda? Skoro tu jesteś...

- To zależy od tego, jak rozumiesz to pojęcie - odparła Charlotte. - Nigdy nie byłam na żadnej ryzykownej wyprawie... nie wędrowałam przez pustynię, nie wycinałam sobie maczetą drogi przez dżunglę. Odwiedziłam tylko kilka turystycznych kurortów. A ty? Brałeś udział w jakichś poważniejszych wyprawach?

- Ostatnio nie. Kiedy byłem mały, mój ojciec sporo podróżował, dzięki czemu zobaczyłem kawałek świata. Ojciec czasem zabierał mnie i moją siostrę na wyprawy w głąb kraju, w którym właśnie byliśmy. Wtedy wydawało mi się to ekscytujące. Widzieliśmy górskie plemiona i słonie pracujące w Tajlandii na długo przed tym, nim stało się to atrakcją turystyczną. Byliśmy na trekkingu w Nepalu, nim zainteresowały się nim tłumy.

- W takim razie podróżowałaś dużo więcej niż ja.

- A dokąd lubisz jeździć najbardziej?

- Lubię różne miejsca. Wszędzie można znaleźć coś godnego uwagi. Nawet w Hiszpanii, która, jak uważa większość ludzi, została nieodwracalnie zniszczona przez wysokie hotele i słodkiutkie wille. Wciąż są tam wspaniałe, puste doliny i dziewicze wioski, całkiem niedaleko od paskudnych wczasowisk takich jak Calpe czy Torremolinos.

- Ja byłem w Madrycie, ale nigdy nie pojechałem na którekolwiek wybrzeże. Z europejskich krajów najbardziej lubię Francję i Włochy.

W tym momencie dołączyli do nich Janet i Bill Warrenowie. Rozmowa przerodziła się w ogólną wymianę doświadczeń i obserwacji z podróży.

- Te krzesła wyglądają kusząco. Idę usiąść - powiedziała Janet, ruszając przez plażę w stronę rzędu czterech joli, tradycyjnych miejscowych siedzisk wyplatanych z włókien kokosowych rozpiętych na drewnianej ramie.

- Są bardzo wygodne - poinformowała pozostałą trójkę, która właśnie się do niej zbliżała.

Charlotte spędziła na joli długie godziny. Siadywała na nich na plaży Kuda Thabu i czytała książki przywiezione przez dziadka z Anglii, kiedy Malediwy były jeszcze pod brytyjskim protektoratem.

Kiedy ona znalazła się pod jego opieką, był już na emeryturze. Mieszkał na Kuda Thabu, czyli Małej Thabu - wysepce podarowanej mu przez ostatniego sułtana Malediwów, zanim kraj stał się republiką.

Po śmierci dziadka mała społeczność rybacka Thabu została przeniesiona na inną wyspę. O ile Charlotte się orientowała, i Thabu, i Kuda Thabu były teraz bezludne. Nie miała pojęcia, czy ona mogła sobie rościć jakieś prawa do mniejszej wyspy.

Dziwnie było siedzieć znowu na joli po tak długiej przerwie. A jeszcze dziwniejsza była myśl, że Manik, z

którym kiedyś łączyła ją bardzo bliska zażyłość, jest tutaj, ale jej nie rozpoznał.

Kiedy rozdzielono ich po raz pierwszy, tęsknota za nim była niemal nie do zniesienia. Jemu też musiało jej brakować, ale pewnie nie aż tak bardzo. Zawsze marzył o pływaniu na frachtowcu, odwiedzaniu obcych portów, o przygodach.

Nie widzieli się przez dwa lata. Kiedy po raz pierwszy wrócił na wyspę, Charlotte i jej dziadek byli w Colombo, stolicy Sri Lanki. Za drugim razem byli na miejscu, ale długa separacja sprawiła, że Charlotte wstydziła się nieco Manika. On bardzo urósł, a ona zaczęła powoli stawać się kobietą. Rosły jej piersi i biodra.

Zacząła też marzyć o miłości. Przez pewien czas po wyjeździe Manika śniła o nim. Przeczytała niewiele współczesnych książek. Z tych, które do niej docierały, wynikało, że miłość i małżeństwo to najbardziej porywające przygody dostępne kobietom.

Być może dziadek domyślił się, o czym wnuczka marzy, i właśnie dlatego wysłał ją nagle do szkoły do Anglii. A może zdawał sobie sprawę ze stanu swojego serca i tego, że w każdej chwili może go zabraknąć.

Przez pierwszy rok w szkole cierpiała męki, tęskniąc za domem. Ulgę przynosiły jej fantazje, w których Manik dowiadywał się, jak bardzo jest nieszczęśliwa, i przybywał jej na ratunek, a potem razem uciekali.

Stopniowo tęsknota zelżała. Ponieważ chciała zasłużyć na pochwałę dziadka, pracowała ciężko. Nauka pozwoliła jej przestać myśleć o miłości, a skupić się na dobrych stopniach.

Powrót na wyspy nieuchronnie musiał odświeżyć jej wspomnienia o Maniku. Jednak nie spodziewała się, że spotka go tuż po przyjeździe, a tym bardziej że, jeśli Dean miał słuszność, będą obok siebie każdego dnia w czasie kolejnych dwóch tygodni.

Jej skóra niedługo nieco się opali. Czy kiedy będzie pływająca i Manik zobaczy ją z mokrymi włosami przyklejonymi do czaszki, nie rozpozna w niej dziecka, które kiedyś znał? A może wspomnienie wesolej chłopczycy jest już zbyt wyblakłe?

Ten wyjazd zmuszał ją wciąż do podejmowania decyzji. Najpierw była sprawa wspólnej kajuty z Deanem, a teraz kolejny dylemat. Jeśli Manik rozpozna ją po kilku dniach, będzie się zastanawiał, dlaczego ona udawała, że go nie zna. Może pomyśleć, że nie chciała odnawiać przyjaźni. Z drugiej strony jeśli mu powie, kim jest, nie będzie mogła utrzymać w tajemnicy przed współpasażerami faktu, że wychowała się na Malediwach i mówi w dhivehi, a tego chciała uniknąć. Obawiała się bombardowania pytaniami, próśb o tłumaczenie.

Poza tym skąd miała wiedzieć, czy Manik sam chce odnowić przyjaźń? Postanowiła, że najlepiej będzie na razie milczeć i poczekać na rozwój wypadków. A w razie czego improwizować.

Pasażerowie i ich bagaże zostali zabrani z wyspy w dwóch grupach, z których pierwsza składała się z Vica i Olly, Diane, Deana oraz Charlotte.

Nad przewozem czuwało dwoje członków załogi. Manik wciąż był na brzegu.

Jako pierwsza nogę na pokładzie postawiła Olly, która niezbyt zręcznie, ale bez marudzenia wdrapała się po drabince na górę.

- Ty następna, Diane - powiedział Vic.

- Rany! Nie cierpię tego!

Nawet bez złoto - białych sandałów na nogach Diane i tak miała kłopoty z utrzymaniem równowagi. Kiedy łodzią zakołysało, oparła się całym ciałem o Vica. Oglądane z dołu jej niebieskie, satynowe szorty robiły wrażenie jeszcze

krótszych. Widać było nie tylko uda, ale i krągłości pośladków.

Załoga najwyraźniej była przyzwyczajona do skąpo odzianych turystów, gdyż żaden z mężczyzn nie zwrócił na to uwagi.

Charlotte miała na sobie rybaczki. Wspięła się szybko po drabinie, właściwie bez pomocy. Rzuciła jednak krótkie „dziękuję”, tym razem pamiętając o tym, by nie używać miejscowego języka.

Nim reszta wdrapała się na górę, Diane stała już przy drzwiach do jednej z kabin.

- Vic, którym końcem łódki najbardziej kołysze, kiedy są duże fale? - zapytała Olly.

- Nie wiem, ale najchłodniej będzie z dala od kuchni. A to już coś - odparł, naciskając klamkę kajuty obok Diane.

- Charlotte, ty wybierz kajutę dla nas - powiedział Dean. Błysk rozbawienia towarzyszący temu oświadczeniu zmusił

Charlotte do odwrócenia wzroku. Była wściekła, bo czuła, jak szybciej bije jej serce, zaczyna brakować tchu. Wiedziała dobrze, co oznaczają takie objawy.

- Może weźmiemy tę - zaproponowała, wchodząc do kajuty usytuowanej na lewej burcie.

Było tam dobre oświetlenie i wentylacja. Na obu kojach leżały świeże prześcieradła i poduszki. Kołdry nie były potrzebne. Charlotte otworzyła szafkę, by zobaczyć, ile jest w niej miejsca, a Dean wrzucił swoją torbę na górną koję.

- Zostawię cię, żebyś mogła spokojnie rozpakować swoje rzeczy. Ja się tym zajmę później. Ciekawe, czy wentylator działa? - zapytał, po czym natychmiast to sprawdził. Poczuli przyjemny powiew. - Do zobaczenia na pokładzie - powiedział i zniknął.

Dla lepszej wentylacji Charlotte zostawiła drzwi kajuty otwarte. Otworzyła walizkę i zaczęła układać jej zawartość na

pólkach i rozwieszać na wieszakach. Kosmetyki postanowiła zostawić w kolorowej kosmetyczce, którą dostała od Sally na Gwiazdkę.

Po upływie kilkunastu minut usłyszała, że przypląnęła druga grupa. Była ciekawa, czy zobaczy Manika. Mógł być jeszcze na ładzie, bo kiedy wszyscy pasażerowie znaleźli się już na pokładzie, usłyszała znowu silnik odpływającej dinghy.

Szybko dokończyła rozpakowywania walizki. Na wierzchu zostały tylko książki, szkicownik i płaskie pudełko z pastelami. Dostała je pod choinkę od Kay.

- Małe te kajuty, prawda? - zaczęła ją Olly, wystawiając głowę przez drzwi. - Słuchaj, kochanie, jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko dzieleniu kabiny z tym Deanem? - Obniżyła głos. - Rozumiem, czemu nie chcesz mieszkać z Diane. W jej kajucie już jest niezły bałagan. Wszędzie porozrzucane ciuchy! Ty jesteś taka jak ja. Lubisz porządek. Zwariowałabyś, mieszkając z tą damulką. Nie pojmuję czego innego. Czemu profesor nie zgodził się mieszkać z nim?

- To Dean nie chce mieszkać z profesorem. Nie wiem dlaczego, ale się uparł. Zresztą i tak oboje zamierzamy spać na pokładzie, więc wydaje mi się, że powinniśmy jakoś przeżyć tę wspólną kajutę.

- Może i tak. - Olly nie wyglądała na przekonaną. - Tak długo, dopóki nie zaczną wam doskwierać pokładowe niewygody. Rozmawiałam o tym z Vikiem. Jeśli nie wypali układ z Deanem, zawsze możesz zamieszkać ze mną, a Vic pójdzie do Deana.

- To bardzo miło z waszej strony, Olly - uśmiechnęła się Charlotte. - Ale nie śmiałabym was rozdzielać. To byłoby idiotyczne. W końcu jesteście małżeństwem.

- O nas się nie martw, skarbie. Koszmarny upał oraz wąskie koje i tak wykluczają zabawę w miesiąc poślubny - stwierdziła Olly, krztusząc się ze śmiechu. - W naszym wieku

jest już ciężko. Żeby się rozruszać, potrzebny by nam był Apartament Szejka, tylko nie możemy sobie na niego pozwolić.

- A gdzie jest Apartament Szejka? - zapytała rozbawiona Charlotte.

- W nim zatrzymała się Fergie, księżna Yorku, w każdym razie tak słyszałam. Wyspa nazywa się Kitty - coś - tam. Nie umiem wymówić połowy z tych nazw. Stoi tam tylko sześć ekskluzywnych, bardzo drogich chat. Zatem Vic i ja musimy się najpierw nieźle wzbogacić. Jeśli skończyłaś rozpakowywanie, chodźmy się napić czegoś zimnego. Umieram z pragnienia.

Charlotte poszła za nią do salonu, skąd inne przejście prowadziło do pozostałych kajut, a także do kuchni i kabin załogi.

Salon wyposażony był w trzy tapicerowane ławki ustawione dookoła stołu. Przechodząc, Charlotte zauważyła półkę z książkami, radio, stertę magazynów, a obok nich pudełka z różnymi grami i talie kart.

Olly wciąż miała na nogach klapki. Charlotte odruchowo powróciła do przyzwyczajień z dzieciństwa i była boso. Do końca rejsu nie zamierzała nosić butów, chyba że schodząc na ląd.

Vic był już na pokładzie. Rozmawiał z Deanem.

- Pijemy piwo. A na co wy macie ochotę, dziewczynki?

Olly poprosiła o piwo, a Charlotte o butelkę wody. Wiedziała, że w tym klimacie trzeba wypijać co najmniej litr dziennie. Nawet w europejskich kurortach, gdzie temperatura nie była aż tak wysoka, nieraz spotykała się u turystów z odwodnieniem.

Reszta grupy wciąż była na dole, zajęta rozpakowywaniem bagaży. Ich czwórka usiadła pod

płóciennym daszkiem ocieniającym część pokładu. To miejsce pełniło jednocześnie funkcję jadalni.

- Ciekawe, gdzie jest nasz kapitan? - zainteresował się Vic.

- To pewnie ten na plaży - stwierdził Dean.

Charlotte widziała Manika idącego po piasku, a potem wskakującego zgrabnie do czekającej dinghy. Stał na dziobie łodzi, która gładko cięła kryształową taflę wody. Zauważyła, że jest gładko ogolony, w przeciwieństwie do pozostałych członków załogi, którzy nosili wąsy.

Kiedy okrążali rufę szkunera, Manik, nie czekając na drabinę, wdrapał się na pokład po linach. Zrobił to z łatwością i zręcznością człowieka, który całe życie spędził na morzu. Na widok pasażerów na pokładzie uśmiechnął się i podszedł do nich. Przejechał wzrokiem po twarzach i zatrzymał się na Viku.

- Dzień dobry państwu. Witam na pokładzie. Jestem waszym kapitanem. Nazywam się Manik. Jeśli będą państwo mieli jakieś pytania czy problemy, proszę zwracać się do mnie bez ociągania. Mam nadzieję, że państwa wakacje na "Bryzie" będą udane.

- My też mamy tę nadzieję, panie kapitanie. Zamierzamy się dobrze bawić - powiedział z uśmiechem Vic.

Twarz Manika, dotąd raczej poważną, rozjaśnił uśmiech. Po chwili przeprosił pasażerów i zniknął.

- Doskonale mówi po angielsku - stwierdziła Olly. - Pewnie musi, skoro pracuje dla cudzoziemców. To duża odpowiedzialność, prawda? Myślicie, że to jego łódź?

- Wątpię - odparł Vic. - Łódź tych rozmiarów kosztuje majątek. Podejrzewam, że właścicielem jest raczej jakich bogacz z Male, ewentualnie jakieś konsorcjum. Jak uważasz, Dean?

Charlotte nie usłyszała jego odpowiedzi, bo Olly, która zdaje się straciła zainteresowanie kwestią własności "Bryzy", zapytała:

- Jak wysoki filtr przeciwsłoneczny ma twój krem? Ja kupiłam ósemkę. Myślisz, że to wystarczy?

Niedługo później załoga zaczęła zdejmować płócienny daszek rozpięty dotąd nad pokładem. Nim pojawiła się reszta pasażerów, szkuner ruszył. Silnik pracował, a Manik stojący przy sterze wyprowadzał łódź na otwarte wody wąskim tunelem między rafami. Kiedy znaleźli się na pełnym morzu, wiatr okazał się na tyle silny, by wypełnić żagle. Charlotte przyglądała się Manikowi wydającym instrukcje załodze.

Nie miał już na głowie splątanej gęstwiny ciemnych, kręconych włosów. Nosił krótką, lśniącą czystością fryzurę. Zniknęło też wrażenie, że niektóre części jego ciała rosną szybciej niż inne. Przed laty czasem jej się zdawało, że dłonie Manika są za duże w proporcji do cienkich nadgarstków, a ramiona za szerokie w porównaniu z wąską klatką piersiową. Teraz wszystko było jak trzeba. Na pewno oglądają się za nim dziewczyny, uznała, i to nie tylko miejscowe, ale również turystki.

Śledziła delikatne, niemal czute gesty jego dłoni dotykających koła sterowego. Złapała się na tym, że myśli, ile dziewczyn pieściły te giętkie, brązowe palce.

Kiedy mówił coś do załogi albo oni mu odpowiadali, nigdy żaden z nich nie podnosił głosu. Wyraźnie było widać, że przywykli pracować razem. Rozumieli się niemal bez słów.

Delikatne klepnięcie w ramię wyrwało ją z zamyślenia.

- Idę na dół rozpakować rzeczy - oznajmił Dean.

Nie była pewna, czy zauważył, że przyglądała się Manikowi.

- Zajęłam górną i dolną szufladę - powiedziała. - Dwie środkowe zostawiłam dla ciebie. Dla każdego jest także po pięć wieszaków.

Kiwnął głową i zgiął się w pół, żeby zmieścić się w niskim łuku zejściówki.

Dwie godziny płynęli do małej, bezludnej wysepki, gdzie zatrzymali się na pierwszą noc. Kiedy kotwica została rzucona, a załoga wyznaczyła bojami miejsce blisko rafy, Manik oznajmił pasażerom, że mogą popływać.

Charlotte chciała jak najszybciej znaleźć się w wodzie. Powiedziała Deanowi, że schodzi do kajuty. Z trzech kostiumów, jakie ze sobą wzięła, wybrała prosty, jednoczęściowy. Mogła w nim pływać i nurkować, nie martwiąc się, że kiedy się wynurzy, kostium wypłynie oddzielnie. Nurkowania nauczył ją dziadek. W szkole pływanie i nurkowanie były jedynymi sportami, w których była naprawdę dobra. Nie przepadała za gramami zespołowymi. Lubiła natomiast tenis.

Jako pierwsza postawiła nogę na lakierowanej poprzeczce drabiny. Kilka sekund później zanurzyła się w stosunkowo chłodnej głębinie. Otworzyła oczy. Widziała piaszczyste dno, kil szkunera i nieprzebrane ławice różnorodnych ryb.

Kiedy zabrakło jej powietrza, wynurzyła się na powierzchnię. Manik i jeden z członków załogi przyglądali się jej z góry. Być może zawsze mieli oko na pływających.

Uśmiechnęła się do nich.

- Rewelacja!

Ciemne oblicze marynarza rozjaśnił szeroki uśmiech, jednak Manik zachował kamienną twarz.

Kiedy Charlotte unosiła się na falach, walcząc z przemożną ochotą odezwania się do Manika w jego języku, by powiedzieć mu, kim jest, na pokładzie pojawiła się Diane.

- Nie pływa pani? - zapytał Manik, widząc, że Diane się nie przebrała.

- Nie w takiej głębokiej wodzie. - Posłała mu kokietyjne spojrzenie spod spuszczonej rzęs. Zdaje się, że podobnie traktowała każdego mężczyznę. - Słaba ze mnie pływaczka.

- W takim razie Maumoon zabierze panią na plażę - odpowiedział Manik i wydał polecenie drugiemu marynarzowi.

- Nie chcę sprawiać kłopotu. - Charlotte usłyszała głos Diane.

- To żaden kłopot. Być może inni też nie pływają tak jak... - Wskazał ręką na Charlotte.

A ona tymczasem weszła z powrotem na drabinę, żeby znowu zanurkować. Na górze pojawił się Dean. Zlustrował jej kształty widoczne pod opinającą materią kostiumu. Ocena trwała krótko. Może uznał ją za zbyt chudą, jej piersi za zbyt małe. Wiedziała, że jej figura nie wytrzymuje porównania z krągłymi kształtami Diane, w dodatku odpowiednio wyeksponowanymi.

Dean skoczył do wody z dachu salonu. Jego wysmukłe ciało poszybowało przez przejrzyste powietrze ze zręcznością i łatwością zdradzającą człowieka, który w wodzie czuje się doskonale. Charlotte przez chwilę jeszcze stała na drabinie i śledziła w wodzie jego ruchy, grę mięśni na ramionach i plecach.

- Świetny pływak z pani mężczyzny - zauważył Manik.

- Tak, świetny... ale on nie jest moim mężczyzną. Kapitan zmarszczył brwi.

- Śpicie w jednej kajucie.

- Nie, oboje zamierzamy spać na pokładzie. Popelniono pomyłkę w rezerwacjach. Brakowało kabin dla wszystkich. Na szczęście Dean Richmond i ja nie chcemy spać w kajucie,

więc nie ma problemu. Wspólna kajuta posłuży nam za garderobę. Przebieramy się zawsze oddzielnie.

Albo nie zrozumiał, albo mu się to nie podobało. Jego brwi pozostały ściągnięte. Charlotte nie była pewna, czy Manik wciąż włada angielskim tak dobrze jak kiedyś, więc zapytała:

- Rozumie pan?

- Nie, bo jeśli nie jest pani razem z Richmondem, to lepiej, żeby pani dzieliła kajutę z kobietą... tą, która nie pływa.

- W jej kajucie nie ma miejsca. Przywiozła ogromną walizę.

- Zatem Richmond powinien zamieszkać ze starszym panem z brodą.

- Nie chce się na to zgodzić.

- Żaden młody mężczyzna nie chce dzielić kabiny ze starym, jeśli może spać z kobietą.

- Nie o to chodzi. Oboje będziemy spali na pokładzie - podkreśliła zdecydowanie.

- Może pani ma szczerą intencję - zgodził się Manik. - Ale skąd pani wie, że jemu nieczyste myśli nie chodzą głowie?

- Stąd, że nie jestem idiotką, a on tego typu facetem - odparła nieco zirytowana.

- Na młodą i piękną niewiastę każdy mężczyzna patrzy pożądliwie - powiedział szorstko.

Rozdrażnienie Charlotte ustąpiło miejsca rozbawieniu. Od kiedy to Manik przemawia w biblijnym stylu?

- Jednak prawi mężczyźni nie zmuszają do niczego prawych kobiet - oświadczyła z namaszczeniem. - A on jest prawym mężczyzną, a ja prawą kobietą. Nie ma więc powodów do obaw.

Ich rozmowę przerwało pojawienie się na pokładzie innych pasażerów. Profesor i pan Neasden zeszli po drabinie.

Vic skoczył z pokładu. Olly i pani Neasden postanowiły, że podobnie jak Diane zażyją kąpieli dopiero wtedy, kiedy dobiją do plaży.

Po wyjściu z morza Charlotte użyła pokładowego prysznicza połączonego ze zbiornikiem słodkiej wody. Wąż doprowadzający wodę leżał w słońcu na pokładzie, więc w pierwszej chwili na jej głowę poleciała ciepła woda.

Było późno. Słońce nie grzało już tak bardzo i można było odsłonić ramiona. Zeszła na dół, by zdjąć mokry kostium i włożyć bawełniany sarong, który Kay przy wiozła jej z Malezji.

Kiedy pływacy powrócili na pokład, jeden z członków załogi przyniósł tacę z napojami w puszkach. Każdy coś dla siebie wybrał. Po chwili nadszedł Manik z zeszytem w ręce.

- Proszę wpisywać tu swoje nazwiska i rodzaj napojów. Zapłacicie państwo pod koniec rejsu - wyjaśnił i wręczył Vikowi zeszyt, do którego przymocowany był ołówek.

- Tak jest, kapitanie. Wedle rozkazu. - Vic wpisał się do zeszytu i podał go Charlotte. - Pewnie będzie ci brakowało ginu z tonikiem, co, skarbie?

- Skąd wiesz, że nie ukryłam tajnego zapasu w kajucie? - odpowiedziała z uśmiechem.

- Nigdy w życiu nie dopuściłabyś się przecież przemytu! To nie w twoim stylu... ale w moim tak - dodał, chichocząc. - W każdym razie byłoby, gdybym nie miał na głowie Olly, która mnie pilnuje. Bardzo się trzyma litery prawa, ta moja żona.

- Szturchnął Deana w bok i ciągnął dalej: - Posłuchaj mojej rady, stary. Nie żeń się. Kiedy dasz się zaobrączkować, nigdy już nie będziesz panem swojej osoby.

- Niebezpieczne słowa, Vic - odparł na to Dean. - Może tu jest jakaś feministka.

- Chodzi ci o Charlotte? Nie ona... nie ma mowy! Gdyby była feministką, nigdy nie pozwoliłaby ci przekroczyć progu swojej kajuty. Powiedziałyby ci, żebyś spadał. Ach, oto i moja żona - zawołał na widok nadpływających z plaży pań. - Pomogę jej wdrapać się po drabinie.

Olly miała na sobie podkoszulek zarzucony na kostium. Pani Neasden owinęła się kwiecistym plażowym ręcznikiem. Natomiast Diane nie wzięła ze sobą żadnego okrycia. Niewiele pozostawiła wyobraźni. Była ubrana w różowo - żółty kostium z bardzo wysoko wyciętymi figami i dekoltem sięgającym niemal pępka.

- A niech mnie drzwi ścisną! - Vic mrugnął znacząco do zebranych.

Charlotte zdusiła śmiech. Nawet profesor, jak zauważyła, podniósł na chwilę wzrok znad książki i popatrzył w stronę Diane.

Dean długo taksował odsłonięte wdzięki blondynki, ale trudno było orzec, czy z uznaniem, czy też nie. Nie dało się też powiedzieć, co o skąpym kostiumie Diane myśli Maumoon i najmłodszy z członków załogi, którzy zabrali kobiety na plażę. Za czasów Charlotte wszystkie kobiety na Thabu nosiły bluzki z długimi rękawami i spódnice do kostek. Nie podejrzewała, by wiele się pod tym względem zmieniło.

Diane posłała zgromadzonym kokieterjny uśmiech.

- Popluskałyśmy się trochę, prawda, Sylwio?

- Tak - powiedziała cicho pani Neasden. Jak dotąd, odzywała się tylko wtedy, kiedy ktoś ją o coś zapytał.

Charlotte współczuła kobietom takim jak Sylwia Neasden, które zdawały się nie istnieć w innej roli niż żona własnego męża. Ciekawe, jak często cierpliwe i ciche kobiety wiążą się z zadufanymi w sobie impertynentami. Rozumiała, dlaczego mężczyźni szukają kobiet, które są od nich słabsze, ale nie

potrafiła pojąć, dlaczego nieśmiałe kobiety wiążą się z dominującymi facetami.

Jak można się było spodziewać, pan Neasden natychmiast wtrącił swoje trzy grosze.

- Lepiej by się wam pływało koło łodzi - stwierdził z niezachwianą pewnością w głosie. - Ale, oczywiście, nie chciałyście sobie zniszczyć misternych fryzur.

Sylwia wyglądała na stłamszoną, ale Olly nie można było tak łatwo zbić z tropu.

- Każdy ma jakieś problemy. Ty, Stanleyu, będziesz musiał uważać na łysinę. Jeśli jej nie posmarujesz olejkami, może stać się czerwona jak rak. Sylwio, idziemy na dół?

Nie zwracając uwagi na gniewnie zaciśnięte usta pana Neasdena, Olly puściła oko do Vika, wzięła Sylwię pod rękę i pociągnęła ją w stronę luku.

Charlotte przeszła na dziób łodzi. Oparła się łokciami o burtę i sączyła powoli swój sok. Jako dziecko spędzała godziny, wpatrując się w puste morze i odległy horyzont. Zastanawiała się wtedy, jaki wielki świat się za nim kryje. Teraz już to wiedziała. Nie znalazła w nim jeszcze swojego miejsca. A może właśnie do niego wróciła?

Obok niej stanął Dean.

- Neasden budzi we mnie feministę - mruknął. - Przewiduję ostre spięcia między nim a wesołą Olly.

- Bardzo lubię Vika i Olly - przyznała Charlotte. - Z nimi nie będziemy się nudzić. Czy dowiedziałeś się w samolocie, czym się zajmuje profesor?

- Jest filozofem politycznym. Niewiele mi to mówi. I to wszystko, co o nim wiem.

- Wystarczyło, byś nie chciał dzielić z nim kajuty. Czy kiedy przerywa lekturę i się odzywa, jest wielkim nudziarzem?

- Nie mam pojęcia. Prawie nie rozmawialiśmy. Zdecydowałaś już, w której części pokładu rozłożysz materac?

- Pewnie tutaj. Nie zdziwiłabym się, gdyby również załoga spała na świeżym powietrzu.

- Zatem ja się ulokuję po drugiej stronie masztu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Pod masztem stała duża skrzynia, w której leżały zwinięte liny. Razem z licznymi świetlikami otwartymi w celu wentylacji, tworzyła ona barierę między dwiema częściami pokładu.

Nagle z wody zaczęły wyskakiwać delfiny, kreśląc na tle nieba piękne łuki. Po chwili zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

- Niezłe życie... te rejsy dla turystów po atolach - zauważył Dean. - Ciekawe, ile na nas zarabiają? Chciałem przeczytać w zeszycie nazwiska poprzednich pasażerów, ale strony zostały sklezione.

Chociaż Vic wpisał do zeszytu swoje nazwisko, Charlotte podała tylko imię. Nie chciała, by Manik rozpoznał nazwisko starszego pana, dla którego pracowała jego matka. W dzieciństwie ludzie z wyspy nazywali ją Pet, bo tak zawsze wołał na nią dziadek. Manik też najczęściej tak do niej mówił.

Poczuła, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się i zobaczyła wpatrzone prosto w nią zagadkowe, złote oczy Manika. Jedną rękę włożył do kieszeni, drugą trzymał zaciśniętą na stalowej osłonie podtrzymującej maszt.

- Piękny wieczór - odezwała się do niego.

Morze miało teraz kolor cyny, a niebo promieniowało na różowo.

Manik nie podszedł do nich. Przez chwilę myślała nawet, że nie skomentuje jej uwagi. W końcu jednak, po długiej pauzie, odezwał się.

- Tu lepiej niż w Europie, tak?

- Dużo lepiej - zgodził się z nim Dean. - Kiedy wyjeżdżaliśmy, w Europie zapowiadano opady śniegu.

- Czytałem o śniegu, ale nigdy go nie widziałem. Byłem w różnych krajach, ale w żadnym z nich nie ma śniegu.

Charlotte podeszła do podwyższenia, na którym stał.

- W jakich krajach pan był? - zapytała.

- Malezja... Jawa... wiele miejsc. Niedługo będzie kolacja.

Odwrócił się i zniknął bezszelestnie. Był teraz bosy.

Charlotte oblała się rumieńcem. Potraktował ją tak lekceważąco! Czyżby ją rozpoznał? Był zły, bo myślał, że ona go nie poznała? Już i tak zawstydzona, nie potrzebowała szorstkiej uwagi Deana:

- Najwyraźniej nasz kapitan nie lubi, gdy zaczepiają go pasażerki - stwierdził jej współlokator.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wcale go nie zaczepiałam. Chciałam tylko być miła - stwierdziła.

- On ci się nie podoba? Większość kobiet lubi ten typ facetów. Wcześniej mi się wydawało, że ty też. Tak uważnie mu się przyglądałaś... Ale może chodziło ci o modela. Zauważyłem, że na twojej koi leżą przyrządy do rysowania. Jesteś artystką?

- Nie, po prostu lubię sobie czasem poszkicować. I masz rację. Przyglądałam się wcześniej Manikowi z powodu jego interesującego profilu.

- A flirtujesz tylko z białymi - dodał.

- Z nikim nie flirtuję - odparła Charlotte. - Tylko próbuję być miła i nawiązać znajomość. Taka już jestem. Najmniejszego znaczenia nie ma dla mnie fakt, czy ktoś jest biały, czy nie. Wiem, że Manikowi nie podoba się nasza umowa. Myślał, że jesteśmy na wakacjach razem. Kiedy się dowiedział, że jest inaczej, uznał, że ja powinnam mieszkać z Diane albo ty z profesorem.

- To nie jego sprawa - powiedział Dean. - On ma tylko zapewnić nam bezpieczeństwo.

- Być może uważa, że jest w całości odpowiedzialny za pomyślność pasażerów.

- Jeśli wróci jeszcze do tematu, zwróć mu, proszę, uwagę, że warunki na statku niespecjalnie sprzyjają romansom - stwierdził wyniośle Dean. - Ściany są bardzo cienkie i wszystko przez nie słyhać, a temperatura, nawet przy włączonych wentylatorach, nie zachęca do bliższego kontaktu fizycznego. - Zanim zdążyła zareagować, dodał jeszcze: - Choć pewnie on widzi to inaczej. Ci mężczyźni są przez długie okresy z dala od swoich kobiet. Na pewno nie pomagają im widok niemal nagich turystek.

- Prawdopodobnie cudzoziemcy nie są dla nich atrakcyjni. Biała skóra nie jest specjalnie apetyczna. A jeszcze mniej zaczerwieniona jak rak. Uważam, że Bóg popełnił pomyłkę, nie dając wszystkim skóry w kolorze czekolady.

- Zgadzam się, tylko nie postawiłbym złamanego grosza na to, że nie podobasz się naszemu kapitanowi. Za kilka dni będziesz pięknie opalona, a te pełne namysłu spojrzenia, jakie ci posyła, mogą oznaczać, że bardzo go pociągasz.

Charlotte poczuła, że się czerwieni. Była na siebie wściekła. Nie mogła zaprzeczyć, że Manik się jej przyglądał, ani wyjawić prawdopodobnej przyczyny jego zainteresowania. Postanowiła więc wybrnąć z tego dyplomatycznie.

- Jestem pewna, że on za bardzo ceni swoją pracę, by ryzykować jej utratę, przekraczając barierę dzielącą go od pasażerów.

- Nic mu nie grozi, jeśli się okaże, że któraś pasażerka nie ma nic przeciwko wakacyjnemu romansowi z przystojnym żeglarzem.

- Być może, ale nie wątpię, że jest na tyle bystry, by zauważyć, kto jest zainteresowany romanssem, a kto nie - stwierdziła Charlotte.

Dean wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Tylko żeby właściwie odczytać sygnały wysyłane przez kobietę, potrzeba dużej inteligencji. Czy nie mam racji, Vic? - zapytał na widok podchodzącego do nich taksówkarza.

- W czym, stary?

- Mówiłem właśnie Charlotte, że niełatwo jest zrozumieć kobiety.

- Oj, niełatwo! Sam coś o tym wiem. Od dwudziestu sześciu lat próbuję zrozumieć Olly i nic! Kobięcy umysł jest nieprzewidywalny. Totalnie nieprzewidywalny. - Vic uśmiechnął się zaczepnie do Charlotte.

Usłyszeli dzwonek wzywający ich na kolację. Kiedy dotarli na miejsce, wszyscy inni już siedzieli przy stole. Po każdej jego stronie mieściły się cztery osoby, a na końcach po dwie.

- Chodź tu i usiądź koło mnie, Dean. Z Vikiem mogę porozmawiać zawsze - powiedziała Olly.

Dean zajął miejsce między nią a Diane, a Vic usiadł koło Janet. Dla Billa i Charlotte zostało miejsce koło Stanleya.

- No proszę. Jest jak trzeba: wszystkie małżeństwa rozdzielone, mężczyźni przemieszani z kobietami - stwierdziła Olly.

- Stanleyu, gdybyś zajął miejsce u szczytu stołu, zaburzyłbyś równowagę.

- Czy moja żona bardzo cię rozstawiała po kątach, Stan?

- zapytał Vic.

- Wolę, by zwracano się do mnie pełnym imieniem - burknął nadęty pan Neasden.

- Proszę bardzo, Stanley. Mnie tam nikt nie nazywa Victorem. Prawdopodobnie użyto tej formy po raz ostatni podczas mojego chrztu.

Charlotte zaczęła się zastanawiać, czy istnieje coś, co byłoby w stanie pozbawić go dobrego humoru.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, kucharz i jego pomocnik podali wielki półmisek smażonych ryb, ziemniaki i sałatę oraz miseczkę gorącej oliwy, w której usmażono dużą ilość cieniutko pokrojonego czosnku.

- Mmmm... pyszne - mruknął Bill do Charlotte. Zauważyła, że pan Neasden nie ma czosnku na talerzu, więc podała mu miseczkę.

- Nie, dziękuję.

- Czosnek jest bardzo zdrowy - powiedziała do niego Olly z drugiego końca stołu. - Nie pozwala zwęzić się arteriom czy coś takiego.

- Jeśli sam nie zjesz, Stanleyu, to zapaszki całej naszej reszty będą dla ciebie nie do zniesienia - dodała Janet. - Spróbuj, to naprawdę smaczne.

Pan Neasden z wyraźną niechęcią nałożył sobie na talerz odrobinę czosnku.

Podczas posiłku Bill rozmawia! głównie z Sylwią, a Janet z Vikiem. Z drugiej strony stołu Diane paplała coś do Deana. Po kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy ze Stanleyem Charlotte dała sobie spokój. Zajęła się jedzeniem. Nie mogła nie słyszeć uwag wymienianych przez kucharza i jego pomocnika. Czekali w dalekim kącie i rozmawiali we własnym języku o grupie turystów.

- Hassan, ci ludzie nie jedzą z takim zapałem jak Niemcy, których mieliśmy poprzednio. Ci to mieli dobre apetyty - powiedział kucharz. - Mężczyzna z twarzą węża ma taką minę, jakby miał przed sobą talerz z gęsim łajnem.

- Tak, ale dziewczynie obok niego, tej, która pływa pod wodą, bardzo smakuje, Ali. Popatrz, bierze dokładkę - zauważył steward. - Inni też jedzą nie najgorzej. Jedynie Oczy Węża ma skrzywioną gębę.

Na deser podano brzoskwinie z puszki, powitane przez pasażerów jękiem rozczarowania. Liczyli na obfitość świeżych, tropikalnych owoców.

Charlotte, która wiedziała, że na większości wysp brakowało owoców i warzyw, ucieszyła się na myśl, że przywiozła ze sobą trochę pomarańczy. Tylko sześć, za mało na całą podróż, ale pewnie czasem kucharzowi uda się zdobyć jakieś ananasy czy papaje.

Kolacja zakończyła się kawą. Ponieważ wszyscy mieli za sobą kiepską noc w samolocie, czuli już znużenie i mieli ochotę położyć się spać.

Kiedy sprzątno ze stołu, pojawił się Manik.

- Smakowało państwu? - zapytał.

- Tak, bardzo, kapitanie - odpowiedział Vic przy chóralnym wtórze reszty z wyjątkiem Neasdena.

Manik skinął z zadowoleniem głową i zniknął na zapleczu, gdzie zmywano naczynia. Charlotte widziała, że zapalił papierosa. Po chwili poczuła znajomy aromat, na który składał się zapach tytoniu, miodu i kokosa.

Nigdy sama nie paliła, z wyjątkiem kilku prób w szkole z internatem. Kiedy była dzieckiem, jej dziadek palił fajkę wodną. Woń bidi Manika wywołała żywe wspomnienia wieczorów spędzanych na werandzie domu, który dziadek wybudował na Kuda Thabu.

Zatopiała się głęboko w marzeniach, kiedy Neasden wstał od stołu.

- Chodź, Sylwio. Dobranoc - rzucił bez uśmiechu do reszty pasażerów.

Ponieważ profesor znowu pogrążył się w lekturze, pani Neasden rozmawiała z Olly. Właściwie to mówiła niemal tylko Olly, a Sylwia Neasden jej słuchała. Na głos męża poderwała się, szepnęła „dobranoc” i podążyła za nim.

Naczynia były pozmywane. Z okolicy stanowiska sternika dobiegał ich cichy szmer dhivehi. Charlotte wstała.

- Idę umyć zęby i ułożyć sobie materac - zwróciła się do Deana.

- Dobrze.

Uniósł się, gdy ona odchodziła.

To była jej pierwsza wizyta we wspólnej łazience. Była tam mała umywalka wbudowana w szafkę i toaleta z instrukcją używania specjalnej spłuczki po niemiecku, włosku i angielsku. Nad umywalką wisiało lustro, a po jego obu stronach półeczki we wnękach. Dean położył swoje rzeczy i butelkę płynu przeciw insektom na półce z prawej.

Charlotte położyła kosmetyczkę na lewej. Obok kuchni ustawiono dużą lodówkę z zimnymi napojami. Wzięła z niej

butelkę wody, ale nie do mycia zębów. Do tego celu używała wody z kranu. Jej lekko słonawy smak pewnie nie spodobałby się Neasdenowi, ale jej to nie przeszkadzało.

Kiedy wróciła na pokład, wszyscy poza Diane i Deanem już się rozeszli.

- Nie przywykłam chodzić spać tak wcześnie. Dean uczy mnie grać w scrabble - wyjaśniła Diane.

Dobrze, że on, a nie ja, pomyślała Charlotte. Złośliwie dodała w myślach, że Diane nie zna zapewne żadnego słowa dłuższego niż dwusylabowe.

Przyniosła ze sobą małą pompkę, dzięki której łatwo i szybko napompowwała materac. Kilka chwil później wyciągnęła się wygodnie z głową na poduszce przyniesionej z kajuty i rozgwieżdżonym, równikowym niebem nad sobą.

Dziadek mówił jej, że spoglądanie w gwiazdy jest jak patrzenie w przeszłość. Widzi się je nie takimi, jakie są, lecz takimi, jakie były wieki temu, nim ich światło rozpoczęło podróż ku Ziemi. W niektórych wypadkach zaczęła się ona, zanim na Ziemi pojawił się człowiek.

Magia i tajemnica nieba była jednym z tematów, który często powracał w ich rozmowach. Teraz, kiedy patrzyła na konstelacje, których nazw właśnie on ją nauczył, czuła, że dziadek jest bardzo blisko niej.

Coś zasłoniło jej księżyc. Nie była to chmura, lecz cień człowieka.

- W nocy może być zimno. Przyniosłem koc - powiedział Manik.

Charlotte usiadła. Miała na sobie sarong zawiązany w pasie i bawełnianą bluzę.

- Dziękuję, Manik. Mam swój koc.

To był bardzo lekki i bardzo ciepły pled, jakich używali pasażerowie pierwszej klasy w samolotach linii lotniczej, dla której pracowała Kay. Ktoś niedbały wypalił w jednym z nich

dziurę i w ten sposób jej przyjaciółka weszła w jego posiadanie.

- Miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś - dodała. - Pewnie Dean Richmond z radością go pożyczy.

- Dam mu. Jest z białowłosą kobietą.

Poszybowała myślą do czasów ich dzieciństwa. Poprawiała go, gdy robił błędy, ucząc się angielskiego.

- Jasnowłosą - powiedziała automatycznie.

- Tak, jasnowłosą, dziękuję. Robię wiele błędów. Nie mówię waszym językiem biegle. Dobranoc.

Po jego tonie wyczuła, że poczuł się urażony, ale zanim zdążyła zapewnić go, że mówi po angielsku bardzo dobrze, już go nie było.

Obudziła się o świcie. Przez chwilę patrzyła zdziwiona na maszt nad sobą, ale zaraz przypomniała sobie, gdzie jest.

W nocy siła wiatru wzrosła. Raz czy dwa dotarł do niej świst w olinowaniu, ale nie wyrwało jej to ze snu. Teraz czuła się wypoczęta, gotowa do rozpoczęcia swojego pierwszego pełnego dnia na morzu.

Wieczorem wcisnęła sobie pod poduszkę bikini, żeby zaraz po przebudzeniu wziąć prysznic na pokładzie. Teraz jednak, kiedy wszyscy jeszcze spali, uznała, że mogłaby ich w ten sposób pobudzić. Zdecydowała więc, że lepiej będzie popłynąć na plażę, a prysznic wziąć później.

Zza masztu, gdzie miał spać Dean, nie dochodził żaden dźwięk. Jednak na wszelki wypadek przebrała się w kostium pod kocem. Następnie zwinęła koc i prześcieradło zabrane z koi oraz spuściła powietrze z materaca.

Zeszła po drabince najciszej, jak potrafiła i wsunęła się do wody. W pierwszej chwili poczuła lodowate zimno, ale kiedy oddaliła się trochę od łodzi i mogła już płynąć energiczniej, szybko się rozgrzała.

Płynęła tą samą trasą, którą poprzedniego dnia dinghy zawiozła panie na brzeg. Wkrótce brodziła w wodzie w stronę plaży z bielutkim piaskiem, z gatunku tych, które dostarczają zachwyconym fotografom materiału do turystycznych broszur.

Po czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych w pozycji siedzącej miała ochotę rozprostować kości. Zrobiła kilka skłonów i ruszyła biegiem wzdłuż brzegu tam, gdzie piasek był mokry i utwardzony. Wykonała też kilka radosnych, energicznych podskoków. Czuła się wspaniale.

Zwolniła i zaczęła spacerować brzegiem. Było tu tak samo jak na Kuda Thabu. Drobnosproszkowany koral przecinały delikatne linie przypominające skomplikowany wzór haftu na bielonym płótnie. Były to ślady małych, niemal niewidocznych, przezroczystych krabów, które mieszkały w dziurach w piasku. Jako dziecko Charlotte często próbowała je łapać. Uciekały zwinnie, zostawiając za sobą właśnie takie charakterystyczne ślady.

Po płyciźnie przechadzała się majestatycznie czapla. Obserwowała ją, ale odleciała dopiero wtedy, gdy Charlotte znalazła się kilka metrów od niej.

Usiadła przy brzegu oparta na rękach i patrzyła, jak fale obmywają jej nogi. Omal nie zemdląca na dźwięk cichego „dzień dobry”.

- Och... Manik... przestraszyłeś mnie! Myślałam, że jestem sama.

- Przepraszam.

Stał w pewnej odległości. Miał na sobie mokre kąpielówki. W porannym słońcu jego gładki tors lśnił niczym polerowany brąz.

- Nic się nie stało. Dzień dobry. A zapowiada się naprawdę wspaniały. Zawsze pływasz tak wcześnie?

Kiwnął głową.

- Golilem się, kiedy zobaczyłem, że pani płynie na wyspę. Nie boi się pani być tu sama?

- A czego miałabym się bać? - zapytała z uśmiechem.

- Ludzie z Europy czasami boją się węży i pajaków. Mogła powiedzieć mu teraz, że zna wyspy i wie, iż nie ma na nich niebezpiecznych gadów ani owadów. Mogła, ale straciła szansę. Zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy on dodał:

- Dobrze pani spała? Nie dokuczało zimno czy niewygoda?

- Spałam doskonale.

- To dobrze. Obawiam się, że nie wszyscy mieli to szczęście. O drugiej słyszałem szum wentylatora. Później bardzo głośne chrapanie. Czytałem, że to kłopot w Europie... chrapanie. - W czasie rozmowy Manik podszedł bliżej.

- Rzeczywiście, wielu ludzi ma z tym problem - zgodziła się z nim Charlotte. - W pewnym sensie życie w Europie nie jest tak zdrowe, jak, na przykład, na Malediwach. W Europie je się za dużo, pije za dużo i za dużo siedzi.

- Ale pani jest bardzo zdrowa. Widziałem, jak pani biegła i skakała. Pani ciało jest w pięknej formie - powiedział Manik, przyglądając się jej uważnie.

Być może to miało być stwierdzenie faktu, a nie komplement, ale jego dobór słów i spojrzenie, jakim ją objął, sprawiły, że zaczęła myśleć, iż może, mimo jasnej skóry, podobała mu się.

Gdyby ta uwaga pochodziła od Deana Richmonda, podziękowałaby i próbowała się nie zarumienić. Manikowi jednak wyjaśniła:

- Jestem zdrowa i szczęśliwa, bo mam pracę, którą lubię, a to się rzadko zdarza.

- A co pani robi? - zapytał.

- Pracuję w biurze podróży*. Dbam, by turystom udały się wakacje. Wolałabym jednak, żeby inni się o tym nie dowiedzieli.

- Nic nie powiem.

- Chodzi o to, że dzięki mojemu zawodowi mam ogromne zniżki na samolot i tylko dlatego mogłam tu przyjechać. To drogie wakacje, inni pewnie długo na nie oszczędzali. Manik wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ile to kosztuje. Wiem za to, że na Malediwach nie ma tak bogatych ludzi jak w Europie. Dla mnie bogactwo nic nie znaczy. Chciałbym mieć swoją łódź, ale jeśli nie mogę jej mieć, to trudno. Ważne, że jestem kapitanem dobrej łodzi.

- Masz żonę i dzieci? - zapytała Charlotte. Pokręcił głową.

- Inni mają rodziny. Pracują przez dziewięć miesięcy, a jeden spędzają w domu. To nie jest dobre. Bardzo tęsknią za swoimi żonami i dziećmi. - W tym momencie coś za nią przykuło jego wzrok. - Ktoś się zbliża.

Było to Dean. Szedł brzegiem, niemal po śladach Charlotte.

- Muszę wracać i sprawdzić, co z waszym śniadaniem - powiedział Manik. - Ali jest dobrym kucharzem, tylko trochę powolnym z samego rana.

I odszedł.

- Dzień dobry. Wczesnie wstałaś - dobiegł ją po chwili głos Deana.

- Ojej. Obudziłam cię?

- Nie, nie słyszałem, jak wstawałaś. Obudziły mnie głosy dochodzące z dołu. Widziałem, jak ćwiczyłaś na plaży, a potem zauważyłem, że on się zbliża - pokazał za Manikiem. - Pomyślałem, że dobrze będzie się tu zjawić.

Nie była pewna, jak rozumieć jego uwagę. Czy nagle zachciało mu się pospacerować po wyspie? Czy też widok Malediwczyka podążającego za nią kazał mu ruszać w ich ślady?

- Jak ci się spało? - zapytała.

- Całkiem nieźle. Raz czy dwa obudził mnie świst wiatru, ale zaraz znowu zasypiałem.

- Manik mówi, że w którejś kajucie całą noc pracował wentylator. Ktoś chrapał. Czy reszta już wstała?

- Vic wstał. Spał dobrze... zdaje się, że wspomagany sporą dawką przeszmurowanej whisky.

- Ach, więc zrobił to, wbrew oporowi Olly - zaśmiała się Charlotte. - Moim zdaniem chrapał albo profesor, albo Neasden. Olly nie zdzierżyłaby chrapania u Vica, natomiast Sylwia jest tak nieśmiała, że pewnie nie zwróciłaby mężowi uwagi. - Charlotte wstała. - Wracam. Nie posmarowałam się kremem do opalania, a zaraz robi się gorąco. Poza tym chcę wziąć prysznic przed śniadaniem.

- Ja też - powiedział Dean.

Gdy szkuner pojawił się w zasięgu ich wzroku, zobaczyli, że Manik jest już na pokładzie. Vic i Olly właśnie brali prysznic. Olly miała na sobie bikini, tak jak Charlotte. Widzieli, jak Vic objął Olly i cmoknął ją w czubek nosa.

- Miła z nich para - zauważył Dean.

- Z Warrenów też. Natomiast profesor i Neasdenowie wydają się niewiele warci. On, zdaje się, zamierza spędzić cały rejs z nosem w książce.

- A co myślisz o Diane? - zapytał Dean.

- Kiedy zobaczyłam ją na lotnisku, pomyślałam, że to typowa głupia blondynka. Może jednak ma jakieś ukryte atuty.

- Słabo gra w scrabble. Obawiam się, że będzie się domagała rekompensaty od biura podróży, jeśli nie pojawią

się jakieś inne propozycje spędzania wieczorów. Miejmy nadzieję, że na niektórych wyspach są dyskoteki.

- Na pewno tak. Inna sprawa, czy starsi pasażerowie będą zadowoleni z łomotu muzyki.

- Jeśli o to chodzi, to włącz mnie do grupy starszych pasażerów - stwierdził Dean. - A ty? Lubisz reggae, heavy metal i tak dalej?

Pokręciła głową.

- Jedyna popowa taśma, jaką ze sobą wzięłam, to „Blue Eyes” Eltona Johna. Reszta to „lekka klasyka”. Kiri Te Kanawa... koncerty skrzypcowe Menuhina... tego rodzaju rzeczy.

- To mniej więcej to samo, co ja lubię. Może powymieniamy się kasetami?

- Czemu nie? - Uśmiechnęła się.

Kiedy wdrapali się na pokład, do ich nozdrzy dotarł apetyczny aromat kawy i tostów.

Ponieważ Charlotte wieczorem przyniosła z kajuty ręcznik i żel pod prysznic, nie musiała teraz po nie schodzić. Szybko wzięła prysznic. Potem jej miejsce zajął Dean, a ona poszła na dół, żeby się przebrać. Zdjęła mokre bikini, po czym włożyła szorty i top z odkrytymi ramionami i plecami. Kabina jej i Deana znajdowała się dokładnie pod miejscem, gdzie on się teraz mył. Woda dudniła na deskach jak ulewa podczas burzy.

Dziwne było otworzyć szafę i znaleźć w niej męskie ubrania obok swoich. W odróżnieniu od swoich współlokatorek, Charlotte nigdy nie mieszkała z mężczyzną.

Na górnej koi leżały jakieś książki. Rzuciła okiem na tytuły: kryminał, opowieści podróżnicze i antologia dwudziestowiecznej poezji. Była zaskoczona. Dean nie wyglądał na faceta, który zabiera ze sobą na wakacje tomik wierszy. Robił wrażenie cynika, a nie idealisty. Jednak co tak naprawdę o nim wiedziała? Niewiele. Ciasnota szkunera

zmusiła ich do szybkiego zawarcia znajomości. W takich warunkach łatwo było zapomnieć o tym, że są grupą obcych sobie ludzi, którzy jeszcze przedwczoraj nie wiedzieli o swoim istnieniu. Nawet Manik był teraz obcy.

Na śniadanie każdy dostał szklankę soku owocowego, mały omlet i tosty z masłem i dżemem ananasowym.

Smak masła z puszki przypominał Charlotte dzieciństwo. Często czuła wdzięczność dla dziadka, który nauczył ją jeść bez grymaszenia wszystko, co przed nią postawiono. Dzięki temu teraz, w przeciwieństwie do innych, nie narzekała, gdy musiała zjeść coś, za czym nie przepadała, albo co nie było zbyt smaczne.

Według Neasdena masło nie nadawało się do jedzenia. Narzekał też na tosty, herbatę i omlet. Charlotte zaczęła się zastanawiać, czy wytrzyma dwa tygodnie siedzenia obok niego przy stole. Jej zamyślenie przerwał Dean.

- Biorąc pod uwagę rozmiar kuchni i temperaturę, jaka w niej panuje, jedzenie jest zadziwiająco dobre. Wątpię, czy byłoby lepsze, gdybyś ty, Neasden, zabrał się do gotowania.

Powiedział to takim tonem, że zapadła cisza. Nikt już więcej nie narzekał, a Charlotte przypomniała sobie pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Dean jeszcze na lotnisku.

Po śniadaniu wszyscy popłynęli łodzią na plażę.

Janet i Charlotte zaczęły szukać miejsca w cieniu, gdzie mogłyby zostawić swoje rzeczy.

- Ależ to była noc! - skrzywiła się Janet. - Ty i Dean mieliście nosa. Czy uwierzyłabyś, że o drugiej w nocy profesor wciąż miał zapalone światło, włączony wentylator i trzymał otwarte drzwi do kajuty? Bill był wściekły, ale udało mi się go powstrzymać przed zrobieniem awantury. Potem, kiedy profesor w końcu zasnął, Neasden zaczął chrapać jak traktor. Biedna ta jego żona! Nie zmrużyła pewnie oka.

- Być może profesor nie ma świadomości, jak bardzo hałasuje w nocy jego wentylator.

- Może. W każdym razie Bill zamierza z nim o tym porozmawiać. Natomiast nie mam pojęcia, co począć z chrapaniem Stanleya. Nie spodziewam się, żeby Sylwia śmiała go obudzić i przewrócić na drugi bok. Może się przyzwyczaiła i jej to nie przeszkadza?

Większość grupy poszukała schronienia w cieniu palm i krzewów rosnących na plaży. Charlotte chciała przed kąpielą poleżeć na słońcu przez dwadzieścia minut, a potem nałożyć koszulkę, żeby ochronić ramiona i plecy podczas pływania.

Ona i Janet posmarowały sobie nawzajem plecy kremem do opalania. Charlotte leżała właśnie na brzuchu, z głową schowaną w ramionach, kiedy gdzieś w pobliżu rozległ się głośny krzyk.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ociężała od upału, Charlotte nie zareagowała tak szybko, jak zwykle w podobnych sytuacjach. Zanim dźwignęła się na nogi, koło niej śmignął Dean, a za nim Bill. Krzyk dobiegał z drugiej strony zarośli.

Pobiegly z Janet za panami i znalazły Diane. Była niemal naga. Miała na sobie tylko malutkie majteczki na cienkich sznureczkach. Wskazywała na krzaki za miejscem, w którym się opalała.

- Tak się przestraszyłam! Smarowałam sobie nogi, kiedy kątem oka zobaczyłam, że coś się rusza. Siedziało tam... i patrzyło na mnie. Okropne, brrr! Nie mogę nawet o tym myśleć. - Wzruszyła energicznie ramionami, przez co jej błyszczące od olejku do opalania piersi zadygotały.

- Co to było, Diane? - zapytała Janet. - Wąż?

- Nie, to nie był wąż. Miało nogi. A do tego oczy węża i długi ogon. Nie podobała mi się jego mina. Na pewno chciało mnie ugryźć. Och, nie mogę tu leżeć, nie z tym czymś siedzącym w krzakach. Przyjdę do was.

Wstała i schyliła się po ręcznik. Nawet kobiety nie mogły oderwać wzroku od jej krągłych pośladków.

- Cokolwiek to było, nie podejrzewam, żeby było agresywne - powiedział Bill. Charlotte zauważyła, jak wymienił rozbawione spojrzenia z żoną.

- Podejrzewam, że to była po prostu duża jaszczurka - stwierdziła Janet.

- Nieważne. Najważniejsze, że Dean to odstraszył. - Diane popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zawsze do usług, szanowna pani.

Charlotte wróciła na swoje miejsce. Była na siebie wściekła, ale musiała przyznać, że miała Diane za złe to nieświadome eksponowanie walorów ciała. Jaki zdrowy

mężczyzna w wieku Deana, w dodatku sam na wakacjach, oparłby się tym wspaniałym krągłościom?

Po raz pierwszy w życiu Charlotte zazdrościła czegoś innej kobiecie.

Wieczorem członkowie załogi rozpalili ognisko na plaży.

Nie byli już sami na wyspie. Po południu inna wycarterowana łódź rzuciła kotwicę w pobliżu „Bryzy”.

Na pokładzie „Thimary” przyплыли młodzi Niemcy, z którymi Dean rozmawiał w ich języku, kiedy oni i pływacy z „Bryzy” spotkali się w wodzie.

Charlotte często żałowała, że nie mówi lepiej po niemiecku. Zawsze jednak z większą łatwością przychodziło jej szlifowanie języków łacińskich niż zagłębianie się w zawłości teutońskiej gramatyki i wymowy.

Wieczorem, kiedy obie grupy siedziały przy ogniskach, do Deana podszedł jeden z Niemców. Mimo że znała niemiecki dość słabo, Charlotte zrozumiała, o czym rozmawiali. Niemiec zapraszał Deana do nich. Nalegał, żeby przyprowadził ze sobą dziewczyny, a zwłaszcza Diane.

Podobnie jak poprzedniego wieczora, Ali i Hassan trzymali się w pewnej odległości od pasażerów, jedzących piezonego na ogniu kurczaka i rybę. Na brzeg zszedł również Manik, który wybrał się na spacer wzdłuż plaży.

Kiedy zjedli ciepłe dania, Hassan przyniósł duży półmisek czegoś, co wyglądało jak małe, karmazynowe kuleczki z ryżu.

- To nie ryż - powiedziała Janet, kiedy ona i Charlotte skosztowały słodczy, które smakowały kokosem, bananami i czymś, czego nie umiały rozpoznać. - Ciekawe, co to jest? Niestety, ani kucharz, ani steward nie znali angielskiego.

- Manik będzie pewnie wiedział - zasugerowała Charlotte.

- Zatem chodźmy go zapytać. Przy okazji uciekniemy od tej muzyki.

Podczas posiłku Niemcy włączyli radio na cały regulator. Cała grupa tańczyła. Nikt z nich nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, a niektóre dziewczyny były jeszcze młodsze.

Manik siedział na pniu palmy rosnącej krzywo nad plażą. Palił bidi, które odrzucił na bok, jak tylko zobaczył pasażerki z dowodzonego przez siebie jachtu.

- Manik, mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy - zaczęła Janet i wyjaśniła, czego chciała się dowiedzieć.

- Ten deser robi się z agar agar. To rodzaj wodorostu.

- A co się dodaje, żeby uzyskać ten piękny czerwony kolor? - drążyła dalej Janet.

- Nie wiem. Postaram się dowiedzieć.

- Dziękuję. Bardzo mnie to ciekawi. Lubię gotować. Z każdej podróży staram się przywozić kilka przepisów na nowe potrawy. Dziękuję jeszcze raz, Manik. Nie będziemy ci już zakłócać spokoju.

Odwróciły się i już miały wracać na tę część plaży, gdzie paliły się ogniska, kiedy Manik odezwał się w swoim własnym języku:

- Zapomniałaś, że bawiliśmy się razem jako dzieci? Obie kobiety stanęły jak wmurowane. Janet dlatego, że nie zrozumiała, co powiedział, Charlotte z zupełnie przeciwnego powodu.

- Musimy porozmawiać... na osobności - dodał Manik po angielsku.

- Janet, wszystko w porządku - powiedziała Charlotte, świadoma tego, że pani Warren jest zbita z tropu i niepewna, co powinna zrobić. - Wracaj do ogniska. Ja zaraz przyjdę.

- Jesteś pewna?

Charlotte uśmiechnęła się do niej i kiwnęła głową. Kiedy Janet była już na tyle daleko, że nie mogła ich słyszeć, Manik przerwał ciszę.

- Dlaczego ona się o ciebie boi? Czy myśli, że coś ci zrobię na oczach tylu ludzi? Ta kobieta musi być głupia.

- Są takie miejsca na ziemi, gdzie kobieta ma powody, żeby bać się mężczyzn... niektórych mężczyzn - wyjaśniła. - Pani Warren nie wie, że dawno temu byliśmy przyjaciółmi. Nie bądź na mnie zły, Manik. Myślałam, że możesz nie mieć ochoty wracać do tamtych dni.

- Albo miałaś nadzieję, że nie pamiętam - powiedział brutalnie.

- Dlaczego miałabym tego chcieć? Naprawdę było mi bardzo przykro, kiedy mnie nie rozpoznałeś, mimo iż wiem, że ja zmieniłam się bardziej niż ty. Kiedy się rozstaliśmy, byłam jeszcze dzieckiem, a ty niemal mężczyzną.

- Tak, jesteś bardzo zmieniona. Wyrosłaś na piękną kobietę. Pewnie wielu bogaczy ubiega się o twoją rękę.

- Jeśli nawet, to mnie żaden nie wspomniał o tym ani słowem. - Charlotte roześmiała się głośno. - Nie znam żadnych bogaczy i nikt mi się nigdy nie oświadczył. Tak, jak ci mówiłam rano, sama pracuję na swoje utrzymanie. Od kiedy wiesz, kim jestem?

- Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Wiedziałem, że któregoś dnia wrócisz. To jest twoje miejsce.

Nim zdążyła wyrazić wątpliwości, ciągnął dalej, przechodząc na dhivehi:

- Lepiej wracaj do ogniska. Będą jeszcze okazje do rozmowy. Nie mów im, że mnie znasz, a ja nie powiem nic załodze. Tak będzie lepiej. A teraz idź, dziewczyno - dodał, popychając ją lekko do przodu.

Zaskoczona tą arbitralną odprawą, Charlotte posłusznie wykonała polecenie. Wracała jednak wolniej, niż szła w tamtą stronę. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Poznał ją od razu i wcale nie był zdziwiony jej powrotem.

Kiedy dołączyła do reszty pasażerów, Diane i Deana nie było. Bawili się z Niemcami.

- Reszta z nas wraca na pokład - poinformował ją Bill. - Ty pewnie masz ochotę potańczyć, co?

- Nie jestem dziś w nastroju. Wracam z wami. Dopiero na pokładzie „Bryzy” Janet zapytała:

- Czy Manik cię podrywał?

- Nie. Ja... kiedyś odruchowo poprawiłam błąd, jaki popełnił w angielskim. Chce doskonalić język.

Mogła tylko mieć nadzieję, że to szyte grubymi nićmi wytłumaczenie wystarczy Janet.

- Aha, rozumiem - powiedziała z wyraźną ulgą. - Jest bardzo przystojny i wydaje się miły, jednak nie sądzę, żeby rozsądnie było za bardzo się z nim zaprzyjaźnić. Ciebie o to nie podejrzewam, ale Diane mogłaby się na to złapać, gdyby to ją zaczepił.

- A dlaczego nie byłoby rozsądnie z nim się zaprzyjaźnić?
- zapytała Charlotte, ciekawa zdania Janet o Maniku.

Janet wyglądała na zmieszaną.

- Bo... to nieznajomy. Obcy. Być może w oczach takich dziewczyn jak Diane dodaje mu to uroku. Ja patrzę na życie inaczej niż wasze pokolenie. Zakochałam się w Billu, kiedy byłam bardzo młoda. Został moim jedynym mężczyzną. Na szczęście dobrze trafiłam i nie mam poczucia, że coś mnie ominęło. Mówiąc szczerze, nie chciałabym być dzisiaj młoda. Pewnie nie miałabym odwagi jechać na wakacje sama, tak jak wy, dziewczyny.

- Nie jesteśmy już dziewczynami - stwierdziła Charlotte.

- Każdy osiemnastolatek uznałby mnie za staruszkę!

W tym momencie dołączyły do nich Olly i Sylwia, które wróciły ze swoich kajut. Janet zmieniła temat rozmowy.

Trzy małżeństwa postanowiły zagrać w remika. Profesor ponownie zajął się lekturą, którą przerwał wyjazd na plażę.

Zaś Charlotte przygotowała sobie posłanie i postanowiła położyć się wcześniej spać. Zanim jednak to zrobiła, długo stała przy prawej burcie, przyglądając się zabawie na plaży. Ich ognisko już zgasło, lecz drugie płonęło mocnym ogniem, a muzyka grała jeszcze głośniejsze niż przedtem. Doskonale ją słyszała ze swojego miejsca. Ochrypla kakofonia dźwięków wytworzonych przez odległą kulturę brzmiała dziwnie w miejscu, które zwykle wypełniał szelest palmowych liści i delikatny szum morza.

Charlotte widziała tańczącą Diane. Deana wypatrzyła dopiero po dłuższej chwili. Stał z boku z jednym z Niemców, pogrążony w rozmowie.

Spojrzała na miejsce, gdzie spotkała wcześniej Manika, ale chyba go tam nie było. Może odszedł dalej, żeby uciec przed hałasem, który dla niego musiał być jeszcze trudniejszy do zniesienia niż dla niej.

Położyła się wreszcie, a żeby odciąć się od muzyki pulsującej na plaży, nałożyła słuchawki na uszy. Leżała, patrząc w gwiazdy, i słuchała kojącego tenoru Pavarottiego.

Kiedy się obudziła, po kolorze nieba poznała, że nie otworzyła oczu tak wcześnie jak poprzedniego dnia. Za późno na samotne pływanie przed śniadaniem. Z dołu słychać już było głosy. Musiała się pospieszyć, jeśli chciała wziąć prysznic przed innymi.

Usiadła i zobaczyła leżącego obok walkmana z porządnie zwiniętym kablem słuchawek. Zasnęła, słuchając Pavarottiego. Ktoś potem delikatnie zdjął z jej głowy słuchawki i wyłączył muzykę. Tak delikatnie, że się nie obudziła. Czy zrobił to Dean, kiedy sam kładł się spać? A może Manik?

Wyjrzała zza masztu. Nie było ani Deana, ani jego posłania. Czyżby spał gdzieś indziej? W ich kajucie? W kajucie Diane?

Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę z tego, jak bolesna jest ta druga myśl. Nie mogła tego jednak wykluczyć. Jeśli zabawa na plaży przeciągnęła się do późna, a większość z bawiących się stanowiły pary, prawdopodobnie zaczęły się pieszczoty i pocałunki. Diane była seksowną, ponętą kobietą i, bez wątpienia, doświadczoną. Czy Dean odrzuciłby propozycję?

Charlotte właśnie skończyła* kąpiel, kiedy pojawił się Dean. Był w kąpielówkach i ociekał wodą.

- Dzień dobry - przywitał się. - Jeśli już się umyłaś, to ja chętnie skorzystam z prysznic.

Charlotte odsunęła się na bok i zaczęła wycierać ręcznikiem.

- Wcześniej wstałeś. Spodziewałam się, że zabawa przeciągnie się do rana.

- Nie zostałem do końca.

Nie mogła powstrzymać pytania cisnącego się jej na usta.

- A Diane?

- Została, a potem ją przywieźli. Obawiam się, że przy śniadaniu wysłuchamy narzekań Stanleya. Jej powrót wiązał się ze sporą dawką scenicznych szeptów i tłumionych chichotów, nie wspominając o silniku motorówki. Diane będzie dziś pewnie w kiepskiej formie.

Jednak on najwyraźniej nie był. Nastrój Charlotte w jednej chwili się poprawił.

- Zasnęłam ze słuchawkami na uszach i ktoś mi je zdjął. Czy to byłeś ty?

- Ja.

- Dziękuję. Muszę pamiętać, żeby tego nie robić.

- A co cię ukołysało do snu?

- Taśma z tym rewelacyjnym koncertem Pavarottiego, Placido Domingo i Jose Carrerasa, który odbył się kilka lat temu we Włoszech. Może widziałeś go w telewizji?

- Byłem wśród grona szczęśliwców, którzy obejrżeli i wysłuchali go na żywo - powiedział Dean. - Włoscy przyjaciele wykorzystali swoje znajomości i zdobyli bilety.

Pomyślała, że musi mieć bardzo wpływowych przyjaciół.

- Czy to twój świat... muzyka? - zapytała.

- Z muzyki czerpię ogromną przyjemność. Jako słuchacz, a nie muzyk.

Nie dodał, czym się zajmuje. Charlotte nie mogła oprzeć się wrażeniu, że uczynił to celowo. Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby ona czy ktokolwiek inny na pokładzie wiedział, co robi.

- Idę na dół umyć zęby - powiedziała. - Za chwilę będę z powrotem.

- Nie musisz się spieszyć - odparł i błysnął zębami w uśmiechu, kiedy go mijała.

Serce załomotało Charlotte w piersi. Co takiego jest w tym mężczyźnie, że przy nim robiła się absurdalnie nieśmiała, jakby wciąż miała dziewiętnaście lat?

Kilka chwil później wróciła na pokład.

- Ktoś jest w naszej łazience. Może profesor. Drzwi do jego kajuty były otwarte i chyba go tam nie ma.

Niezadowolenie Deana wyraziło się ściągnięciem brwi i zaciśnięciem szczęk.

- Pewnie ten stary idiota zepsuł u siebie pompę. Będzie ją trzeba naprawić. Nie pozwolę mu używać naszej łazienki - zakomunikował ostro. - Poczekaj tutaj. Pójdę i wszystko wyjaśnię.

Owinął się ręcznikiem dookoła bioder i zniknął w łuku prowadzącym na dół.

Na pokładzie pojawiła się Olly.

- Co z Deanem? Wygląda, jakby wstał dziś lewą nogą. Może boli go głowa? Nie zdziwiłoby mnie to, biorąc pod

uwagę fakt, o której wrócili. Było po pierwszej w nocy. Słyszałam tupanie Diane, ale Deana nie. Obudził cię?

- Tylko Diane wróciła tak późno - wyjaśniła Charlotte. - Dean opuścił przyjęcie wcześniej.

- W takim razie coś go musiało zdenerwować - stwierdziła Olly. - Przemknął koło mnie z miną niczym burza gradowa. Przywitał się, ale był bardzo oschły. To do niego niepodobne.

- Przechyliła głowę na bok i przyjrzała się uważnie Charlotte.

- Pokłóciliście się?

- Jeśli Dean jest zły, to z innego powodu. Podejrzewa, że profesor zapchał pompę w swojej łazience i używa naszej - wyjaśniła Charlotte.

- Nie byłabym zaskoczona. Czy zauważyłaś, że on nosi wciąż tę samą koszulę, którą miał w samolocie? Jeśli dziś na śniadaniu nie pojawi się w świeżej, będę musiała się przesiąść. Od tego zapaszku odechciewa mi się jeść!

- Może w domu ma gospodynię, która pilnuje, żeby zmieniał ubrania - zasugerowała Charlotte. - Pewnie wkłada, co mu wpadnie w ręce. Olly, może zwrócisz mu jakoś delikatnie uwagę?

- Skarbie, nie wiem, jak delikatnie powiedzieć komuś, że śmierdzi. Masz jakieś pomysły, propozycje, sugestie?

- Cześć, Charlotte. Jak się spało? - zapytał Vic, podchodząc do nich.

- Dzień dobry. Wspaniale. A tobie?

- Nieźle, ale Dean zdaje się ma zły dzień. Powinnyście słyszeć, jak mówił profesorowi, żeby się wynosił! Nie podniósł głosu, nie używał mocnych słów, nic z tych rzeczy. Ale jasno dał do zrozumienia, że mu się to nie podoba. I coś wam powiem. Czymkolwiek się zajmuje w kraju, nie przywykł do dyskutowania.

- Vic, co on konkretnie powiedział profesorowi? - zapytała Olly.

Jej mąż przybrał srogą minę.

- „Nie dość panu, że panna Perivale jest zmuszona dzielić ze mną kajutę, profesorze? To niedopuszczalne, żeby jeszcze musiała używać łazienki pozostawionej przez pana w takim stanie: całe lustro zachlapano mydłem, nie spłukana woda w toalecie”. - Vic wrócił do swojego normalnego tonu i dodał: - Do licha, zbeształ profesora jak uczniaka!

- I bardzo dobrze - stwierdziła Olly. - Bycie mózgowcem nie zwalnia człowieka od zachowywania porządku. Zwłaszcza w tropikach i w takiej ciasnocie. Chodź, Vic, weźmy prysznic, nim pojawią się inni.

Charlotte odeszła na bok. Nie potrafiła wy tłumaczyć, dlaczego czuje wewnętrzny żar tylko z tego powodu, że człowiek, który był jej niemal obcy, uznał za niedopuszczalne pozostawienie jej łazienki w niechlujnym stanie. A jednak tak było.

Dean właśnie wrócił na pokład.

- Załatwione. Przepraszam, że musiałaś czekać.

- Nie ma sprawy.

Łazienka aż lśniła. Charlotte stała w niewielkiej przestrzeni, myjąc zęby, i myślała o tym, co Vic powiedział o Deanie. Cokolwiek czynił, czynił to na sposób władcy, nie dopuszczając do dyskusji. Przyzwyczajony był też do absolutnej czystości. Może jest chirurgiem?

Zgodnie z przewidywaniami Deana, podczas śniadania Stanley zrobił awanturę o to, że powrót z plaży zakłócił mu sen.

Diane nie pojawiła się na śniadaniu. Kiedy Olly zastukała do jej drzwi z informacją, że tosty stygną, jęknęła tylko i poleciła, żeby zostawić ją w spokoju.

Steward musiał zameldować o jej nieobecności kapitanowi, który zjawił się w jadalni, gdy skończyli śniadanie, i zapytał:

- Czy blondwłosa pani jest chora?

- Nie chora, kapitanie. Wycieńczona tańcami - wyjaśnił Vic. - A także, prawdopodobnie, innego rodzaju aktywnością - mruknął pod nosem, kiedy Manik zniknął.

W przeciwieństwie do profesora, kapitan wkładał codziennie czystą koszulę. Rano zawsze miał na sobie biały podkoszulek z nadrukowanym napisem „Bryza”, a potem, kiedy pasażerowie byli na plaży, a on i załoga brali prysznic, wkładał sportową koszulę z krótkimi rękawami.

Charlotte przyglądała mu się, jak podnosi klapę luku na rufie i wślizguje się pod pokład, gdzie umieszczony był silnik i generator. Był na dole zaledwie kilka minut. Po powrocie zbliżył się do pasażerów pijących kawę i herbatę.

- Dziś popłyniemy na Boduhithi. To włoska część wysp. Są tam sklepy i bary. Wieczorem zobaczą państwo tradycyjne tańce i posłuchają muzyki. Jest też dyskoteka.

Stanley wstał.

- Muszę wnieść skargę. Dziś w nocy moją żonę i mnie wyrwały z głębokiego snu odgłosy ludzi wracających z wyspy. Sprawdziłem godzinę. Było dokładnie siedemnaście po pierwszej. To niedopuszczalne. Pana obowiązkiem jest zadbać o to, by podobny incydent się nie powtórzył. Jeśli ktoś chce bawić się do tej godziny, niech śpi na plaży... a nie przerywa wypoczynku innym.

Wszyscy spojrzeli na Manika, który lekko się uklonił i powiedział:

- Przykro mi, że obudzono pana i pana żonę. Ma pan słuszość: jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo i wygodę pasażerów. Ale każdy z państwa przyjechał do mojego kraju na wakacje. Zawsze, kiedy w grupie są starzy i

młodzi, pojawiają się kłopoty. - Ogarnął spojrzeniem stół. - Porozmawiam z młodszymi i poproszę o wzgląd na tych, którzy chcą się wcześniej kłaść. Starszych jednak muszę prosić o wyrozumiałość.

Uklonił się z godnością, odwrócił i zaczął wydawać ciche polecenia załodze.

Charlotte podziwiała Manika za to, jak poradził sobie ze Stanleyem. Chociaż nie było w tym nic dziwnego, skoro jego dziadek ze strony matki był kateebem na swojej wyspie. A i po stronie skandynawskich przodków ze strony ojca mogły występować jakieś geny przywódcze. Skoro jego ojciec był żeglarzem, musiał być odważny i samodzielny.

Podczas gdy załoga zwijała daszek i wciągała kotwicę, Charlotte pożyczyła wiaderko i zrobiła w nim pranie.

- Skorzystam z wiaderka, kiedy ty skończysz - powiedział Dean.

- Zostawić ci wodę z proszkiem? - zapytała.

Olly pewnie zaproponowałyby, że zrobi mu pranie, ale Charlotte uważała, że mężczyzna powinien umieć sam się oporządzić. Ciekawa była, jak sobie poradzi.

- Świetny pomysł. Dzięki. Poradził sobie całkiem nieźle.

- Hej, to babskie zajęcie - droczył się z nim Via

- Nie mam kobiety - odparł na to Dean. - A nawet gdybym miał, nie oczekiwałbym od niej, że będzie mi niańką.

- A ona by pewnie chciała, żebyś oszczędził jej paznokcie, zmieniając przebitą oponę. Moim zdaniem kobiety wychodzą na partnerstwie znacznie lepiej niż my - zauważył Vic, puszczając oko do Charlotte.

Nim Charlotte i Dean rozwiesili pranie, „Bryza” była już pod pełnymi żaglami. Wypływali na morze, wyspę zostawiając za sobą.

- Podobno spotkałaś się wczoraj na osobności z kapitanem - powiedział Dean, kiedy usiedli na zielonych płóciennych krzesłach. - Jak się z nim rozmawia?

Manik stał teraz u steru. Nie mógł słyszeć pytania Deana, bo szkuner miał właśnie zmienić hals, co zaprzętało całą uwagę kapitana.

- Kapitanowie, piloci... z takimi mężczyznami łatwo się rozmawia - odparta Charlotte.

- W ogólnych zarysach zgadzam się z tobą. Czy twój ojciec należał do którejś z tych kategorii?

- Miał zostać archeologiem. Nigdy go nie znałam. On i moja matka umarli na cholere w Ameryce Południowej. Byłam wtedy malutka.

- Więc nie byłaś wtedy z nimi?

- Nie. Opiekował się mną dziadek.

- A więc to on miał na ciebie największy wpływ, gdy dorastałaś?

Kiwnęła głową.

- Czy ty aby nie jesteś psychologiem? - spytała. Pytanie chyba go rozbawiło.

- Psychologia jest ostatnią dziedziną, jaką chciałbym się zajmować. Ale każdy z nas bywa niekiedy psychologiem w kontaktach z innymi ludźmi. Podobno na kobiety duży wpływ mają ojcowie albo ich substytuty.

- A na mężczyzn matki - zauważyła. - Jesteś zżyty ze swoją matką?

- Tak jak każdy. Ona jest malarką. Specjalizuje się w widokach ogrodów. Od śmierci ojca prawie jej nie ma w domu. Kiedy chcę się z nią spotkać, szukam jej tropem zleceń. W następnym miesiącu ma wystawę w Londynie, więc będzie okazja do spotkania.

- Jak ona się nazywa? - zapytała Charlotte

- Maris Richmond. Może miałybyś ochotę przyjść na wernisaż i ją poznać?

Zanim Charlotte zdążyła odpowiedzieć, zerwał się na równe nogi i skoczył na pomoc Diane. Właśnie wyszła na pokład i zachwiała się, mrużąc oczy w ostrym słońcu.

- Cześć, Diane. Jak się czujesz?

- Jakby mi ktoś wiercił dziurę w czaszce - odpowiedziała.

- Nie da się spać w takim hałasie. - Opadła na krzesło i włożyła okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szklami. - Ach, tak nieco lepiej.

- Pójdę zobaczyć, czy nie znajdzie się coś, co by cię postawiło na nogi - zaproponował Dean, znikając w luku prowadzącym pod pokład.

- Czyż on nie jest miły? Prawdziwy dżentelmen z tego Deana. Nie jak ten facet, z którym wczoraj tańczyłam. Jedno mu tylko było w głowie. Bezcelny typ. Charlotte, wróciłaś wcześniej. Nie lubisz tańczyć?

- Lubię, ale wczoraj nie miałam ochoty.

- Masz na niego oko, co? - Diane kiwnęła głową w stronę steru i skrzywiła się z bólu. - Mnie on też się podoba, ale zostanę przy Deanie, jeśli ty masz ochotę na Manika.

- Ja nie... To znaczy... Nie mam ochoty na żadnego z nich, Diane.

- Och, dajże spokój! Przecież nie przyjechałaś na wakacje, żeby siedzieć i rozmawiać z wszystkimi tymi żonatymi, starymi nudziarzami. Mam pomysł. Może zrobimy losowanie? Faceci tak robią, kiedy mają na oku jakieś panienki. Czemu nie miałybyśmy pójść w ich ślady?

Niełatwo było znaleźć na to grzeczną odpowiedź. Kiedy Charlotte zastanawiała się nad nią, Diane otworzyła torebkę, którą zawsze miała przy sobie, żeby móc sobie poprawić makijaż, i wyciągnęła z niej monetę.

- Orzeł czy reszka? Jeśli wygra twoje, będziesz miała prawo wyboru.

- Nie, Diane - powiedziała stanowczo Charlotte. - Nie zrobię tego. To nie w moim stylu.

Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiem, czemu nie chcesz. Życie jest po to, żeby żyć. To moje motto. Mamy dwóch przystojnych facetów. Ja nie zamierzam spędzać wieczorów na grze w remika. W żadnym wypadku! Mówiąc szczerze, nie miałabym nic przeciwko małemu romansowi. Założę się, że ty też.

Charlotte nic na to nie odpowiedziała, więc Diane ciągnęła dalej:

- Jeśli nie podoba ci się Manik, to co robiłaś z nim wczoraj wieczorem w odległym krańcu plaży?

Nie wiadomo, czy uczyniła to celowo, czy przez przypadek, ale zadała to pytanie dokładnie w chwili, gdy na pokład wrócił Dean ze szklanką w ręce.

Zawstydzenie Charlotte zwiększył dodatkowo fakt, że słyszał je również Manik, który zostawił jednego z członków załogi przy sterze i chciał zejść pod pokład. Na dźwięk swojego imienia zatrzymał się i spojrzał Charlotte prosto w oczy. Z jego miny nic nie można było wywnioskować.

Świadoma, że obaj mężczyźni czekają na jej odpowiedź, poczuła, jak opuszcza ją opanowanie.

W końcu Dean przerwał milczenie.

- Proszę, Diane. Wypij jednym haustem. Od razu poczujesz się lepiej.

- Co to jest? - zapytała, patrząc podejrzliwie na mętny płyn.

- Środek na kaca.

- Aha. Niech będzie.

- Jeśli to możliwe, chciałbym zamienić z panią kilka słów w salonie - odezwał się Manik.

- Z kim? Ze mną? - zapytała zaskoczona Diane. - Ach, oczywiście.

Manik puścił ją przodem i zszedł za nią pod pokład.

Dean usiadł koło Charlotte. Byli sami, nie licząc kilku członków załogi, którzy zarzucili wędki. Reszta pasażerów opalała się w pewnej odległości od nich.

- Nie wiem, czy Diane zdaje sobie sprawę, że dostanie grzecznie po nosie - powiedział sucho, po czym dodał: - Czy Manik ci się podoba?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jest bardzo przystojny - odparła Charlotte. - Jednak nie oceniam ludzi tak, jak Diane. Moim zdaniem wygląd nie jest równie ważny jak uprzejmość i poczucie humoru.

- Ale zgodzisz się zapewne, że związek często zaczyna się od pociągu fizycznego?

Jak mogła zaprzeczyć, skoro Dean siedział obok niej, czuła ucisk jego łokcia? Skoro sam widok jego twarzy, torsu, ud, a nawet dźwięk głosu sprawiał, że wyobrażała sobie, co by czuła, gdyby jej dotykał, pieścił ją, całował?

- Zwykle tak - odpowiedziała z wymuszonym spokojem. - Może też jednak zacząć się od więzi intelektualnej, nie sądzisz?

- Nie. To przychodzi później. Intelaktu nie widać. Natomiast od samego początku widzisz, że mogłabyś z kimś się kochać. Nigdy tego nie doświadczyłaś?

- Każdy chyba doświadczył. Tylko że niektórzy traktują takie impulsy z większą swobodą, inni z mniejszą. Diane mówi, że jej motto brzmi: życie jest po to, żeby żyć. Zgadzam się z tym... do pewnego stopnia. Jednak ważna jest też jakość. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym kochać się z kimś, kogo jednocześnie nie uznałabym za interesującego i zabawnego.

- Masz wysokie wymagania - stwierdził. - Chcesz adonisa, a do tego mądrego i dowcipnego. To sporo.

- Wcale nie mówiłam, że to musi być adonis. I w dodatku dowcipny. Źle to ujęłam. Chodzi o to, żeby mieć podobne poczucie humoru. Psychologowie mają być może rację, twierdząc, że na dziewczynkę silny wpływ wywiera ojciec, czy, jak w moim przypadku, dziadek. Nie spotkałam osoby, która miałaby większe poczucie humoru od niego. Czasami, kiedy czytał mi książkę lub opowiadał zdarzenia z życia, śmialiśmy się aż do bólu. Nie zdarzyło mi się to od jego śmierci.

- Kiedy to się stało? - zapytał Dean. Charlotte westchnęła mimowolnie.

- Dawno temu, kiedy byłam w szkole w Anglii. Od tamtej pory wakacje spędzałam z innymi krewnymi. Och, przepraszam, nie zamierzałam opowiadać ci historii mojego życia.

Na pokład wrócił Manik i poszedł prosto do steru. Po Diane nie było ani śladu.

- Może ją zdenerwował - zasugerował Dean. - Uważam, że powinniśmy sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku.

Charlotte wciąż nie pozbyła się podejrzenia, że Diane celowo ją zawstydziła. Nie potrafiła też uwierzyć w to, że kazanie Manika mogłoby ją wytrącić z równowagi tak mocno, iż zostałaby w kajucie. Mimo to zgodziła się iść na dół.

Po drzwiach kabiny Diane usłyszała pracujący wentylator. Zapukała. Usłyszała zaproszenie.

Bałagan to zbyt słabe określenie, pomyślała Charlotte, wkraczając do zarzuconej ubraniami kajuty Diane. Jej garderoba nie zmieściła się do szafy. Porozwieszała wieszaki z ubraniami na krawędzi górnej koi, na której leżała jej przeogromna waliza.

- Przepraszam za nieporządek, ale co mogę zrobić? - zapytała retorycznie.

- Powiedziałabym, że sporo ciuchów zabrałaś, jak na wakacje na łodzi. Czego chciał Manik? - zapytała Charlotte.

- Neasden się poskarżył, że obudziłam go, wracając w nocy na pokład. Stary głupek. Manik był bardzo uprzejmy. Od razu widać, po czyjej jest stronie, tylko że nie może tego okazać. Tak trzeba, kiedy ktoś się skarży, prawda? Powiedział, co miał powiedzieć, po czym przesłał mi piorunujący uśmiech. Założę się, że prywatnie jest zupełnie inną osobą. Kiedy może sobie pozwolić na luz.

- Stanley złożył skargę przy wszystkich, w czasie śniadania. Spodziewaliśmy się, że Manik zwróci ci uwagę. Dean pomyślał, że może cię to zdenerwować.

- Naprawdę mu to przyszło do głowy? Miło z jego strony, prawda? Słuchaj, zastanawiałam się nad tym losowaniem facetów. I wiesz co? - Diane przerwała na chwilę. - Gdybyś się zgodziła i ja bym wygrała prawo wyboru, nie wiedziałabym, którego wybrać. W końcu obaj są superfacetami, nie? Kiedy Manik mnie upominał, ja się coraz bardziej nakręcałam. Z Deanem jest podobnie. Jak na mnie patrzy tymi stalowymi oczami, to mi się robi gorąco. A tobie?

Szczerą odpowiedź brzmiałaby, że jej też, ale Charlotte nie zamierzała tego zdradzać.

- Poczekaj, aż zobaczysz Włochów na tej następnej wyspie. Włosi są bardzo przystojni i romantyczni. Wystarczy posłuchać, jak mówią, a już robi się miękko w kolanach. Rozmawiają o pogodzie, a brzmi to tak, jakby się kochali.

- Ale będziemy tam tylko przez jedną noc. A z Manikiem i Deanem przez dwa tygodnie. Słuchaj, chciałam cię przeprosić - powiedziała Diane. - Paskudnie postąpiłam, rzucając tę uwagę o Maniku. Widziałam, że byłaś bardzo zażenowana. Więcej tego nie zrobię, obiecuję. Zwykle tak się nie zachowuję. Rzecz w tym, że zanim Dean dał mi to coś do picia, czułam się podle.

Miałam wrażenie, że traktujesz mnie z góry, i chciałam się odegrać.

- Z góry? Niby dlaczego? - zapytała Charlotte.

- Kiedy powiedziałas tym nosowym tonem, że to nie w twoim stylu, pomyślałam, że masz mnie za idiotkę. Później zdałam sobie sprawę, że tak nie było. Jesteśmy różne. Ty nie chcesz się zabawić, chcesz się zakochać, prawda?

- Tak... masz rację. A ty?

- Nie wierzę w całe te brednie. Moja babcia musiała wyjść za męża, kiedy miała osiemnaście lat. Moja mama też miała paskudne życie. Jedna z moich sióstr się rozwiodła, druga jest bardzo nieszczęśliwa. Postanowiłam, że nie pójdę w ich ślady. Zamierzam się bawić i cieszyć każdą chwilą, a jak zbliżę się do trzydziestki, rozejrzę się za facetem, który zapewni mi godne życie. Nie można mieć ciastka i zjeść ciastka. Jeśli facet jest dobry w łóżku, to będzie cię oszukiwał. Inaczej się nie da.

- Nie zgadzam się - oświadczyła Charlotte. - Mój dziadek, który mnie wychowywał, zanim poznał babcię, był strasznym rozpustnikiem. Później nie spojrzał nawet na inną kobietę. Nie on mi to powiedział, usłyszałam to od kogoś innego. Szukam takiego mężczyzny jak on.

- No to sobie poczekasz, skarbie. Uff! Nawet z włączonym wentylatorem jest tu jak w saunie. Wracajmy na pokład.

Resztę przedpołudnia Charlotte spędziła, usiłując czytać książkę. Trudno jej było się skoncentrować. Od czasu do czasu poddawała się i odkładała tomik. Rozsiadała się wygodnie w fotelu i wpatrywała w wydęte, białe żagle nad głową.

Między grotem i wielkim, trójkątnym fokiem przymocowanym do bukszprytu szkunera powiewały jeszcze dwa inne żagle. „Bryza” sunęła ponad przepastnymi głębiami oceanu, kołysząc się tak mocno, że Charlotte stanę! przed oczami stary fotel bujany.

Dopłynęli na miejsce i rzucili kotwicę przy Boduhithi. Po lunchu popłynęli na brzeg.

- Chyba powinniśmy się rozdzielić - zasugerowała Janet, kiedy zebrali się na nabrzeżu. - Jeśli wszędzie będziemy chodzić razem, szybko znudzimy się swoim towarzystwem.

Może każdy pójdzie swoją drogą i zbierzemy się o piątej, kiedy ma po nas przypłynąć łódź?

- Dobry pomysł, Janet - zauważyła Olly. - Chodź, Vic. Idziemy do baru na zimny dżin z tonikiem i plasterkiem cytryny. Jeśli ktoś jeszcze ma zamiar iść w nasze ślady, udajemy, że się nie znamy. Ciao, jak tu mówią.

Trzy małżeństwa powoli się oddaliły. Błada i zmęczona Sylwia podreptała za Stanleyem.

- Idę zadzwonić - powiedział Dean. - Do zobaczenia później.

Diane i Charlotte patrzyły za nim.

- Jeśli dzwoni do Anglii, to musi to być coś ważnego... albo ktoś ważny - stwierdziła Diane. - Czym on się zajmuje? Mówił ci?

Charlotte pokręciła głową. Ją też zżerała ciekawość. Rozmowa z Europą musiała kosztować majątek. A przecież wyjechali z Londynu zaledwie trzy dni temu...

- Chodźmy rozejrzeć się po sklepach - zaproponowała Diane.

Okazało się, że był tylko jeden sklep, ale z całkiem niezłym wyborem ubrań i drobiazgów. Kiedy myszkowały po nim, do środka wszedł Włoch, który powiódł po Diane pełnym uwielbienia spojrzeniem. Usłyszał, że zwracała się po angielsku do sprzedawczyni, i zapytał, skąd przyjechała. Kilka chwil później Charlotte zainteresowała się ubraniami zrobionymi w technice patchworku ze starych, batikowych sarongów. Wyblakłe na słońcu wzory bardzo jej przypadły do gustu, ale ceny były zbyt wysokie. Podejrzewała zresztą, że to samo będzie można kupić dużo taniej w Male, gdzie mieli spędzić dzień.

W tym czasie Diane i Włoch, który przedstawił się jako Giorgio, zdążyli się bardzo zaprzyjaźnić. Charlotte postanowiła więc ich zostawić i ruszyła na poszukiwanie

pustego kawałka plaży. Chciała się wygodnie wyciągnąć i odpocząć.

Leżała w cieniu palmy, kiedy stanął nad nią Dean.

- Mogę się dołączyć? - zapytał.

- Oczywiście, że możesz. Dodzwoniłeś się?

- Tak, bez kłopotów. Gdzie Diane?

- Zostawiłam ją w sklepie. Zabawia ją Giorgio z Mediolanu.

- Co myślisz o tej wyspie? Rozejrzałaś się dookoła?

- Ogólne wrażenie jest niezłe. Szerokie, cedrowe pomosty pięknie zszarzały od słońca i wody. I dobrze, że wzdłuż głównej drogi posadzono palmy.

- Włosi to artyści. Ich projekty zawsze mają swój styl. Charlotte leżała z jedną ręką pod głową. Drugą przesypywała leniwie piasek.

Dean oparty na łokciu zaczął robić to samo.

- Wiesz, jak to powstaje? - zapytał. Wiedziała, ale mimo to poprosiła:

- Opowiedz mi.

- Zostało przetworzone przez papugoryby. Koralowiec żywi się planktonem, a papugoryba algami rosnącymi na rafie. Ma silne szczęki, którymi odłamuje i przeżuwa twarde wapienie chroniący koralowiec. A to są odpady z tego posiłku. Jak myślisz, ile piasku produkuje jedna taka ryba w ciągu roku?

Pamiętała, jak to samo pytanie zadawał jej dziadek. To było tak dawno temu. W przeciwieństwie do rzeczy, które włączano jej do głowy w szkole, wszystko, czego nauczył ją dziadek, pamiętała doskonale.

Próbowała robić wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- To zależy. Pewnie od rozmiaru ryby. Nie wiem, pięć kilo?

- Tonę rocznie. Zrobiła wielkie oczy.

- Żartujesz?

- A ty nie, psotnico? Wiedziałaś od początku.

- Tak - przyznała. - Ale to fascynujące. Gdyby nie papugoryby, nie byłoby tych wysp.

Wyciągnęła się, zamknęła oczy i westchnęła.

- Ale z nas szczęściarze, że możemy tu być. Z dala od zimy przez dwa wspaniałe, złociste tygodnie.

- A ty pracujesz na wspaniałą, złocistą opaleniznę - dodał Dean.

W jego głosie usłyszała coś, co kazało jej otworzyć oczy. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak się nad nią pochyła. Pocałował ją z zamkniętymi oczami.

Przez chwilę Charlotte wydawało się, że serce przestało jej bić. Wargi Deana najpierw lekko musnęły jej usta, potem bardziej namiętnie, z pewnością siebie mężczyzny, który całował wiele kobiet i wie, jak to należy robić.

Ten pocałunek zelektryzował ją po koniuszki palców. Eksplozja zmysłowej przyjemności przeniknęła każdy nerw, każdą komórkę jej ciała.

Dean uniósł się nieco i spojrzał na nią z góry.

- Dobrze? - zapytał.

Był pewien odpowiedzi. Charlotte nie zamierzała go zawieść.

- Za mało powiedziane - szepnęła.

- W takim razie powtórzmy to.

Kiedy ich usta spotkały się po raz drugi, poczuła rosnące pożądanie. Nie obchodziło ją, że jest dzień i są na publicznej plaży. Wiedziała, że gdyby byli gdzie indziej, pierwsze pocałunki mogłyby się skończyć tylko jednym.

Jeśli nawet jednak Dean czuł to samo, nie zamierzał niczego przyspieszać. Pewnie nie zapominał o tym, gdzie się znajdują. A może był zbyt wyrafinowany i doświadczony, by

skracać grę wstępną. W końcu odsunął się od Charlotte i powiedział:

- Sytuacja mogłaby nam się wymknąć spod kontroli. Idę ochłodzić się w morzu.

Jednym ruchem poderwał się na równe nogi. Charlotte patrzyła, jak przecina plażę i wchodzi do błękitnej wody. Wiedziała, że dużo silnej woli kosztowało go przerwanie tego, co się zaczęło.

Mogła go powstrzymać po pierwszym pocałunku. Dał jej szansę, ale z niej nie skorzystała. Nie zrobiła tego, bo pragnęła Deana. Tylko dlaczego? Żeby przeżyć wakacyjną przygodę? Czy też chciała go mieć koło siebie już na zawsze?

Kilka minut później wstała i pobiegła do wody, żeby do niego dołączyć. Jej też potrzebna była ochłoda.

Na innych pięknych plażach w różnych częściach świata, dokąd zapędziła ją praca, wiele razy przyglądała się ludziom, którzy się całowali i pieścili. Czasem nawet czuła się tym zawstydzona. Miłość fizyczna jest lub powinna być czymś bardzo prywatnym. Nie powinno się tego robić na oczach innych. I mimo że teraz aż do bólu pragnęła dotyku Deana, miała nadzieję, że on się powstrzyma.

Nie zawiodła się na nim. Mimo że nie było żadnych widzów w pobliżu, Dean zachowywał się tak, jakby pod palmą nic się nie wydarzyło. Byli po prostu dwójką znajomych z łodzi, którzy razem kąpią się w morzu.

Charlotte zastanawiała się, czy w ogóle ją jeszcze kiedyś pocałuje. Może wieczorem, kiedy wróca na wyspę na koncert?

Na kolacji Diane pojawiła się w czerwonej sukience ozdobionej cekinami. Nie cały czas na wyspie spędziła z Giorgiem. Dowiedziała się też, że są tam bardzo eleganckie toalety publiczne wyłożone granatowymi kafelkami i zaopatrzone w słodką wodę.

- Postanowiłam umyć głowę. - Diane przeczesła dłonią swoje blond loki. - Ułożyłam je moją nową szczotką. - Spojrzała na proste włosy Charlotte. - Może ci ją pożyczę, chcesz?

- Miło, że o tym pomyślałaś, Diane, ale mnie nie do twarzy w lokach.

Charlotte miała na sobie białe bawełniane spodenki z mankietami, a do tego biało - granatowy top w paski z łódkowym dekoltem. Granatowe espadryle na sznurkowej podeszwie i granatowa apaszka przeciągnięta przez szlufki spodenek dopełniały stroju.

- I tak wyglądasz całkiem ładnie - stwierdziła Diane bez przekonania.

Janet równie ubrała się swobodnie. Miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę i bawełnianą chustę, którą mogła zarzucić na ramiona, gdyby zerwał się silniejszy wiatr.

Następnie pojawiła się Olly w luźnej różowej sukience układanej w fałdy od linii bioder. Wyznała, że jest to zakup z poprzednich wakacji w Grecji.

Wreszcie na pokład wyszła Sylwia w kwiecistej sukience z syntetycznej tkaniny, wyjątkowo niepraktycznej w tropikach. Najwyraźniej nie miała pojęcia, co należało zabrać na wakacje na Malediwach. Na nogach miała sandały na małych obcasikach, które zostawiały ślady w pokładzie. Naszyjnik z kolorowych paciorków nie pasował do sukienki.

Na kolację podano im trzy duże pizze przywiezione z wyspy. Towarzyszyły im ciekawe sałatki.

Olly zaproponowała, żeby wszyscy mężczyźni zmienili miejsca przy stole. Teraz Dean siedział naprzeciwko Charlotte, a po bokach miała profesora i Vika.

Dean włożył parę dobrze skrojonych spodni z szarego lnu i jedną z najładniejszych koszulek, jakie w ogóle widziała: na gołębioszarym tle było kilka granatowych falistych linii

symbolizujących morze oraz kilka wyskakujących z fal delfinów.

Rozmowa toczyła się całkiem wartko. Charlotte czasami się w nią włączała, a czasami milczała. Męczyło ją pytanie, które postawiła sobie po południu. Zastanawiała się, dokąd zaprowadzą ich te pocałunki. Czy, jak wiele dziewczyn i kobiet, daje się ponieść romantycznej wyobraźni i nie myśli rozsądnie?

Jej instynktowna reakcja na pocałunek Deana dowodziła, że niewiele już brakowało do przełamania bariery. Przechadzka w świetle księżyca, pusta plaża, odosobnione miejsce w cieniu drzew, zmysłowy zapach egzotycznych kwiatów... Mogła dać się ponieść prądom równie silnym i niebezpiecznym, jak te, które kryją się w morskich głębinach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Koncert tradycyjnej malediwskiej muzyki zaczął się od bodu beru, co znaczy „wielki bęben”. Dziadek opowiadał Charlotte o dzikich tańcach, w czasie których tancerze wbijali sobie w szale noże w głowy. Ten taniec nazywał się tara. Makabryczny rytuał został zakazany przez rząd. Jako dziecko sama naśladowała rytmiczne ruchy innego tańca, bandiya jehun, wykonywanego przez kobiety.

Tego wieczora tańczyły go dziewczyny, których włosy wyglądały niczym grube pasma czarnego jedwabiu. Miały na sobie dhivehi liba, jedwabne suknie z długimi rękawami, gęsto haftowane przy szyi. Klęcząc na matach, dziewczęta stukwały upierścienionymi dłońmi w metalowe bębenki.

W repertuarze znalazło się kilka pieśni miłosnych, których rytmy były przyjemniejsze dla uszu Europejczyków niż pieśni ludowe raivaru. Charlotte zauważyła, że nie przypadły one do gustu reszcie pasażerów „Bryzy”.

Siedzieli razem w jednym rzędzie w amfiteatrze. Kiedy rozejrzała się dookoła, chcąc sprawdzić reakcje słuchaczy, jej wzrok spoczął na Maniku. Stał z zaplecionymi ramionami, oparty o jeden z filarów podtrzymujących dach budynku. Nie patrzył jednak na scenę, tylko na nią. Uśmiechnęła się do niego. Była nieco zaskoczona, że przyszedł na występ, który najprawdopodobniej oglądał setki razy.

Manik odpowiedział na jej uśmiech lekkim skinieniem głowy. Wyglądał gustownie w białych spodniach i czarnej koszuli. Jako chłopiec zawsze nosił lungi, pas kraciatej bawełny owinięty dookoła dolnej części ciała, nieco podobny do sarongu z południowo - wschodniej Azji. Być może jednak lungi nie pasowało do jego obecnego statusu wykwalifikowanego kapitana jednostki morskiej.

Po chwili Charlotte znowu spojrzała w jego stronę. Wciąż nie spuszczał z niej oczu. Odwróciła wzrok. Czuła się dziwnie jako obiekt takiej zagadkowej obserwacji.

Koncert zbliżał się ku końcowi, kiedy do Deana podszedł ktoś z obsługi i szepnął mu coś na ucho. Widząc, że wstaje i wychodzi, Charlotte pomyślała, że poproszono go do telefonu.

Wciąż go nie było, kiedy koncert się skończył, a słuchacze ruszyli do baru. Kiedy tam zmierzała, poczuła, że ktoś lekko dotknął jej ramienia. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Manikiem.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział cicho po angielsku. Szła z tyłu grupy. Uznała, że jeśli nie pojawi się w barze, wszyscy pomyślą, że poszła do toalety, gdzie wcześniej Diane umyła sobie głowę.

- Dawno nie słyszałam takiej muzyki - stwierdziła, gdy ruszyli przez plażę w stronę obsadzonego palmami molo.

Nie mogli się tam czuć prywatnie. Każdy siedzący czy spacerujący był dobrze widoczny z wyspy. W tej chwili na molo nie było nikogo oprócz nich.

- Dziś po południu cię szukałem - powiedział Manik. - Myślałem, że będziesz pływać, ale nie byłaś w morzu. Leżałaś na plaży obok Richmonda. Całowaliście się. Może źle zrozumiałem - ciągnął. - Myślałem, że ty i Richmond nie znaliście się przed wylotem do Male.

- To prawda - potwierdziła, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak długo Manik przyglądał się ich zbliżeniu.

- Twój dziadek nie byłby zadowolony.

- Nie jestem już dzieckiem, Manik, jestem kobietą. Mój dziadek zatrzymałby swoje myśli dla siebie.

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie powinienem z tobą o tym rozmawiać? - zapytał.

- Nie wydaje mi się, żeby fakt bycia kapitanem „Bryzy” upoważniał cię do robienia uwag na temat mojego zachowania. Nie jestem dziewczynką, która potrzebuje rad i opieki!

- Każda kobieta, której pożąda mężczyzna, potrzebuje opieki. Kiedyś byłem ci jak brat. Odmawiasz mi prawa ostrzegania cię przed nierozsądnym postępowaniem? Wiem, że Europejczycy żyją inaczej niż my. Widziałem turystki obnażające piersi i mężczyźni pijących tak dużo, że nie mogli utrzymać się na nogach. To jest złe. My żyjemy lepiej.

- Och, przestań mnie pouczać! - krzyknęła. - Wiesz równie dobrze jak ja, że tutejsze kobiety chodziły z odsłoniętymi piersiami, nim zaczęły obowiązywać muzułmańskie zakazy. Liczba rozwodów na Malediwach dorównuje poziomowi europejskiemu, a może nawet go przewyższa. Na Thabu są ludzie, którzy rozwodzili się sześć, siedem razy. Alkohol jest zakazany, ale jeśli poddasz raa fermentacji, stanie się alkoholem. Natura ludzka jest mniej więcej taka sama na całym świecie!

- Złóścisz się, bo wiesz, że źle... że nie powinnaś pozwolić Richmondowi się pocałować.

Manik mówił swoim normalnym, spokojnym tonem. Jednak instynkt podpowiadał Charlotte, że to on jest zły. A kiedy Manik traci opanowanie, lepiej zejść mu z drogi. W każdym razie tak uważała, kiedy byli dziećmi.

Ludzie na Malediwach raczej nie dają upustu uczuciom w kłótniach i walkach. Ale Manik był półkrwi Norwegiem. Jako dziecko bywał agresywny, kiedy go sprowokowano. Kiedyś widziała, jak uderzył innego chłopca, który nie okazał szacunku jego matce, Alimie.

To było dawno temu. Być może nauczył się panować nad porywczym temperamentem odziedziczonym po skandynawskich przodkach.

- Jesteś staromodny - oświadczyła. - Sam na pewno całowałeś mnóstwo dziewczyn. Dlaczego ja nie mogę pozwolić, by mężczyzna mnie pocałował?

- Bo kiedy znowu będziesz z nim sam na sam, pomyśli, że może sobie pozwolić na więcej... dotykać twoich piersi i... Nie znam na to grzecznego słowa.

- Grzeczne słowa brzmią: „kochać się”. Manik pochylił głowę.

- Dziękuję.

To formalne zachowanie w chwili, gdy miał ochotę nią potrząsnąć, rozbawiło ją. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, Manik chwycił ją za ramiona, ale nie po to, by nią potrząsnąć, tylko żeby ją pocałować.

To był zupełnie inny pocałunek niż pierwszy pocałunek Deana. Przypominał szkwał uderzający zniecka w małą łódź. I podobnie jak szkwał, nie trwał długo. Manik odepchnął ją od siebie, tak że prawie straciła równowagę.

Przez kilka kolejnych sekund ścisnął ją boleśnie za ramiona i patrzył prosto w oczy. W końcu puścił ją i zrobił krok do tyłu. Bez słowa obrócił się na pięcie i odszedł.

Charlotte stała jak wmurowana. Miotły ją przeróżne emocje. Potrzebowała czasu, by się pozbierać. Jedno było jasne i bardzo ją to wytrąciło z równowagi. Pocałunek Manika nie pozostawił jej obojętnej. W inny sposób, ale poruszył ją nie mniej niż pocałunek Deana.

W ciągu tego jednego dnia, w odstępie kilku godzin, dwóch wysokich, ciemnowłosych i pod każdym innym względem różnych mężczyzn podnieciło ją swoimi pocałunkami. Nie uwierzyłaby, że to możliwe, a jednak tak się właśnie stało. Wciąż łomotało jej serce od dotyku Manika, a po południu biło szybko w ramionach Deana.

Wspominała wydarzenia popołudnia, kiedy podszedł do niej Dean we własnej osobie.

Czy widział, jak się całowała z Manikiem? A inni? Ona ze swojego miejsca widziała ich całkiem dobrze. Siedzieli razem w barze, gdzie pod sufitem szumiały wentylatory. Miała nadzieję, że byli zbyt pogrążeni w rozmowie i zajęci pić drinków, by zwracać uwagę na to, co dzieje się na molo.

A Dean? Zaraz się dowie, czy ją widział.

- Rozmawiałeś przez telefon? - zapytała szybko. - Czyżby coś się stało od czasu naszego wyjazdu?

- Nawet jeśli, nikt mi o tym nie wspomniał. Co powiesz na cappuccino albo coś mocniejszego?

Charlotte rozluźniła się. Ton jego głosu brzmiał normalnie. Chyba nic nie widział.

- Na cappuccino powiem: tak.

W barze Dean wziął ją lekko za łokieć i poprowadził w stronę dwóch wolnych krzeseł stojących z dala od angielskiej grupy.

Większość Włochów w barze miała na sobie drogie, ekskluzywne ubrania. Wiele dziewczyn była tak wspaniale opalonych i tak pięknie ubranych, że na ich tle czerwona sukienka Diane wyglądała tanio i pretensjonalnie.

Charlotte przypomniała sobie, że Dean wymienił Włochy wśród swoich ulubionych europejskich krajów. Pewnie więc znał włoski. Gdyby przyjechał tu sam, mógłby spędzić całkiem miły wieczór. Sądząc po spojrzeniach, jakie na siebie ścigał, niedługo byłby pozbawiony towarzystwa.

Manik, gdyby chciał, też nie miałby problemów ze znalezieniem towarzyszki. Mogła się założyć, że umie wykorzystać swoje wdzięki. Który marynarz tego nie robi? Zwłaszcza samotny.

Pewnie powinna czuć się mile połączona, że tych dwóch mężczyzn wybrało właśnie ją. W pewnym sensie nawet tak się

czuła. Jednak z drugiej strony, sytuacja ją przerosła. Przez ostatnie lata myślała, że wielka miłość nigdy nie nadejdzie i że wcześniej czy później będzie musiała przystać na zwyczajny związek. A teraz jeden pociągający facet zamawiał jej kawę, a drugi był na nią wściekły. I nie tylko to. Nim wypuścił ją objąć, poczuła jego reakcję na pocałunek. Odszedł, ale wcale tego nie chciał. Chciał zostać z nią i zrobić to, czego nie umiał grzecznie nazwać.

- Cappuccino zaraz będzie. Zamówiłem też campari z sokiem pomarańczowym. Może być, czy nie lubisz?

- Lubię - powiedziała Charlotte.

Kiedy kelner przyniósł zamówione napoje, ogłoszono początek dyskoteki. Wkrótce bar opuściła ponad połowa gości.

- Jesteś dziś w nastroju na tańce? - zapytał Dean.

- Niespecjalnie. A ty?

- Podobnie jak ty, uważam, że ten klimat nie służy forsownym ćwiczeniom fizycznym, z wyjątkiem pływania.

Włoch siedzący za Deanem odwrócił się i zapytał, czy mieszkają na wyspie. Był kilka lat starszy od Deana. Towarzyszyła mu żona, która nie mówiła po angielsku. Włączyła się do rozmowy, kiedy się okazało, że i Dean, i Charlotte znają włoski.

Pół godziny później wciąż z nimi gawędzili. Charlotte zauważyła, że Warrenowie i Parsonowie wychodzą. Stanley i Sylwia byli na koncercie, ale nie widziała ich ani profesora w barze. Diane poszła do dyskoteki.

- Nasi już wychodzą, Dean. Chyba powinniśmy się żegnać - zasugerowała.

- Jest jeszcze wcześniej - powiedział po angielsku Luciano.

- Chciałbym wam postawić drinka. Przecież nie musicie wracać na jacht tak wcześniej.

- Jesteś zmęczona, Charlotte? - zapytał Dean.

- Nie, nie jestem, ale Maumoon... Tutejsi ludzie są rannymi ptaszkami, a nie nocnymi markami.

- Dam mu kilka rupii - powiedział Dean. - Zgodzi się poczekać, jeśli zasilę jego skarbonkę.

Charlotte cieszyła się, mogąc kontynuować rozmowę z Clarą i Lucianem, zwłaszcza że był on właścicielem biura podróży w Mediolanie i miał wiele ciekawych obserwacji dotyczących przyszłości turystyki. Clara prowadziła dwa butiki z odzieżą, jeden w Mediolanie, a drugi we Florencji. Charlotte kochała ciuchy. I mimo że nie mogła sobie pozwolić nawet na najtańsze modele swoich ulubionych włoskich projektantów, Valentina i Armaniego, potrafiła o nich rozmawiać godzinami.

Gdyby mieszkali na Boduhithi, mogliby rozmawiać z włoskim małżeństwem do północy albo nawet jeszcze dłużej. Jednak przed jedenastą pojawiła się z powrotem Diane.

- Ten Giorgio to istny szatan! - zachichotała. - Namawia mnie, żebym spędziła noc w jego bungalowie. Czeka na mnie przy nabrzeżu. Muszę wrócić z wami.

Charlotte poczuła pewną ulgę. Bardzo miło jej się rozmawiało z Włochami, ale nie chciała kazać Maumoonowi dłużej czekać. Jeśli Giorgio planował uprowadzenie Diane, widok postawnej, wysokiej eskorty powinien wystarczyć, by mu to wybić z głowy.

Lecz to nie Maumoon czekał na nich przy łodzi, lecz Manik.

- Cześć, kapitanie. Co pan tu robi? - zaszczebotała Diane.

- Czekam na państwa, panno Baker - odpowiedział, pomagając jej wejść do łodzi.

- Szkoda, że nie przyszedł pan na dyskotekę. Założę się, że świetnie pan tańczy!

Manik zignorował tę uwagę. Kiedy Diane znalazła się w łodzi, wyciągnął rękę do Charlotte. Zamiast podać mu dłoń, chwyciła się lekko jego brązowego przedramienia. Usiadła obok Diane. Dean wskoczył do łodzi bez pomocy. Manik odepchnął ją od brzegu i zapalił silnik.

Wiedział, kiedy należy wyłączyć silnik, żeby dinghy dopłynęła do jachtu siłą rozpędu. W ten sposób robili mniej hałasu i mniej przeszkadzali innym, którzy mogli już spać.

Okazało się jednak, że na pokładzie wciąż są Vic, Olly i Warrenowie. Grali w karty. Załoga poszła już spać.

- Ach, Diane, wcześniej dziś wróciłaś - zauważył zdziwiony Vic. - Myślałem, że do rana będziesz tańczyć z tym seksownym makaroniarzem, którego poderwałaś.

Charlotte zeszła na dół, żeby się przebrać i umyć zęby. Kiedy szła z powrotem z materacem i prześcieradłami pod pachą, Manik siedział w salonie. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Myślała, że chce jej coś powiedzieć, może przeprosić. Jednak salon był zaledwie trzy stopnie poniżej poziomu pokładu. Być może właśnie to go powstrzymało.

- Dobranoc - powiedziała niskim głosem. Nie odpowiedział.

Spała źle, męczyły ją wyraziste obrazy z przeszłości.

W ostatnim śnie, z którego obudziła się nad ranem i nie mogła już zasnąć, ona i Manik byli dziećmi. Jej dziadek opowiadał im o wikingach.

Od śmierci matki Manik nie miał nikogo poza Charlotte i jej dziadkiem. Na jej wyobrażenie idealnego mężczyzny wpłynęli ci dwaj mężczyźni: dziadek i przyjaciel. Dopiero później, w Anglii, uświadomiła sobie, że nie wszyscy przedstawiciele tej płci dorastają do jej oczekiwań.

Wydawało się jej, że nie śpi pół nocy. W końcu niebo zaczęło się przejaśniać, a ona zapadła w głęboki sen, z którego obudziło ją delikatne szarpnięcie za ramię.

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą Deana.

- Czas wstawać, jeśli chcesz dostać śniadanie. Zamrugła powiekami i dźwignęła się do pozycji siedzącej.

Najpierw przyszło jej do głowy, że musi wyglądać paskudnie: potargane włosy, zapuchnięte powieki.

- Dzięki. Zaraz będę w jadalni.

Poczuła się lepiej, kiedy wzięła szybki prysznic, umyła zęby i rozczesała włosy. W kajucie było bardzo gorąco. Z przyjemnością wyszła z powrotem na świeże powietrze. Włożyła sarong, a wytarte ręcznikiem włosy szeszała do tyłu.

Była zaskoczona, kiedy Janet na jej widok zareagowała słowami:

- Świetnie wyglądasz, Charlotte. Musiałaś dobrze spać. Co znaczy być młodym! Ja mam za sobą paskudną noc. Czuję się koszmarnie.

- I tak wyglądasz - powiedział Bill, puszczając do niej oko. Janet pacnęła go książką, którą właśnie czytała.

- Słyszałaś krzyki Diane? - Janet skierowała swoje pytanie do Charlotte.

- Nie. O której?

- Chwilę po drugiej. Diane się obudziła, włączyła lampkę, żeby sprawdzić, która godzina, i zobaczyła ogromnego karalucha na listwie koło swojej poduszki. Dziwię się, że nie słyszałaś jej wołania o pomoc. Musiałaś głęboko spać. Jako pierwszy z odsieczą pospieszył profesor. Potem zjawił się Manik, a za nim Dean i ja oraz mój mąż. Było tam jak na stacji metra Piccadilly w godzinach szczytu, prawda, Dean?

W odpowiedzi Dean uśmiechnął się tylko i kiwnął głową.

- Nie mogłam uspokoić Diane - ciągnęła Janet. - Uznałam, że lepiej będzie nie mówić jej, że oprócz tego karalucha, który został złapany, jest ich tu o wiele więcej. To nie do uniknięcia w tym klimacie. I to nie dlatego, że na statku jest brudno. Sprawdziłam. W kuchni panuje sterylna czystość.

- Biedna Diane. Miejmy nadzieję, że następnym razem nie natknie się na rekina - powiedział Bill. - Chociaż, jak czytałem, rekiny w tych wodach nie są groźne.

- Ja bym tego wolał nie sprawdzać na własnej skórze - stwierdził Dean. - Kapitanie, czy to prawda, że na Malediwach nie ma rekinów - ludożerców?

Manik, który właśnie szedł do steru, zatrzymał się.

- Rekiny nie są głodne. Mają mnóstwo ryb do jedzenia. Niebezpieczne dla turystów są silne prądy i duże fale rozbijające się o rafę. A także, podczas nurkowania, lepiej patrzeć, niż dotykać. Niektóre koralowce kęsa. Nikomu nic się nie stanie, jeśli będzie postępował zgodnie z tymi radami.

Mówiąc to, spojrzął na Charlotte. Najwyraźniej przypominał jej w ten sposób o radach z dnia poprzedniego.

W ciągu następnych dni niewiele się działo. Charlotte zaprzyjaźniła się z Janet, w której znalazła miłą towarzyszkę.

Ku ich zaskoczeniu i rozbawieniu bliską znajomość nawiązała też Diane z profesorem.

- O czym oni, u licha, mogą rozmawiać? - rozważała Janet, przyglądając się tej parze spacerującej po plaży. - Pewnie sobie uświadomiła, że Dean jest poza zasięgiem, więc został jej tylko profesor.

- A dlaczego Dean jest poza zasięgiem? - zapytała Charlotte.

- Żeby go zainteresować, trzeba więcej niż tylko oszałamiającego wyglądu. Mężczyzna wyrafinowany potrzebuje nie tylko pięknego ciała, ale inteligentnej kobiety z charakterem - wyjaśniła Janet.

- A profesor nie jest wyrafinowany?

- Wiedza to nie to samo. Mężczyźni z dużą wiedzą często są dziecinni poza swoją dziedziną. Zresztą wydaje mi się, że zainteresowanie profesora nią i vice versa ma kruche

podstawy. On rozkoszuje się krągłościami jej odsłoniętego ciała. A dla Diane byle jaki mężczyzna jest lepszy niż żaden.

Charlotte ciekawiło, czy Janet, która była bystra i miała zmysł obserwacji, podejrzewa, co się wydarzyło między nią a Deanem i Manikiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wypadek zdarzył się w dniu, kiedy zatrzymali się niedaleko od rafy, która pewnego dnia mogła wynurzyć się z oceanu i stać się wyspą.

Kotwicę trzeba było rzucić na głębszej wodzie, w pewnym oddaleniu od miejsca, gdzie mieli nurkować. Czekając na swoją kolejkę, by zejść po drabince do dinghy, Charlotte rozejrzała się dookoła i doszła do wniosku, że muszą znajdować się mniej więcej w środku atolu. W zasięgu wzroku miała tylko dwie wyspy, a z powodu wilgoci i mglistego powietrza i tak ledwie majaczyły na horyzoncie. Przeleciało jej przez głowę, że muszą być daleko od stałego lądu.

Diane, profesor, Olly i Janet zdecydowali, że zostaną na pokładzie. Cała reszta płynęła na rafę, nawet Sylwia, która chciała zrobić zdjęcia nurkującemu Stanleyowi.

Maumoon i Sylwia zostali w łodzi, a reszta wskoczyła do wody, by przez maski śledzić fascynujący, podwodny świat.

Manik polecił im, by trzymali się razem i wrócili do dinghy po półgodzinie. Czas właśnie minął, o czym przypominał Vic, stukając w swój wodoodporny zegarek.

Podpływali właśnie do łodzi, a Sylwia przygotowywała się do zrobienia im zdjęcia, kiedy nagle straciła równowagę i upadła do tyłu. Maumoon zerwał się na równe nogi i krzyknął. W efekcie łódź rozchybotwała się na boki jak kołyska.

- Głupia baba! Jeśli uszkodziła mój nowy aparat, będzie miała ze mną do czynienia! - wrzasnął Stanley.

Charlotte pomyślała, że bardziej prawdopodobne, iż Sylwia krzywdę zrobiła sobie. Kiedy upadła, rozległo się dość niepokojące trzaśnięcie.

Pierwszy na pokładzie łódki znalazł się Dean. Za nim wdrapał się Bill, Vic i Charlotte, a potem Maumoon pomógł wciągnąć się Stanleyowi. Jako prowincjonalny urzędnik państwowy miał bardzo mizerne muskuły.

Sylwia leżała tak, jak upadła, z zamkniętymi oczami. Charlotte pomyślała, że pierwszy zimną krew odzyska Dean, ale to Bill poinformował ich krótko, że jest lekarzem, i uklęknął nad nieprzytomną kobietą. Maumoon, nie tracąc czasu, uruchomił silnik i ruszył z powrotem w stronę szkunera.

Stanley na początku bardziej interesował się aparatem niż stanem swojej żony. Do chwili gdy na dłoni Billa wyciągniętej spod głowy Sylwii zobaczył krew.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział Bill. - Rany głowy zawsze mocno krwawią. Powinna zaraz odzyskać przytomność.

Jednak Sylwia wciąż była nieprzytomna, kiedy z pewnym trudem wnieśli ją na pokład „Bryzy” i, zgodnie z instrukcjami Billa, ułożyli z ręcznikiem pod wciąż krwawiącą obficie głową.

- Czy to poważne, proszę pana? - zapytał Manik, śledząc wysiłki Billa i jego żony zmierzające do zatamowania krwi.

- Każdy uraz... zranienie głowy może być poważne. Jak daleko mamy do chirurga i rentgena?

- Szpital jest w Male... pięć godzin stąd.

- W takim razie trzeba wezwać pomoc przez radio. Powinien ją zabrać helikopter - zdecydował Bill.

- Tak, proszę pana.

Manik odwrócił się, by postąpić zgodnie z sugestią Billa, kiedy za rękę złapał go Stanley.

- Poczekajcie! Ile będzie kosztował helikopter? Moje ubezpieczenie może tego nie pokryć.

- Moim zdaniem koniecznie trzeba go wezwać - wszedł mu w słowo Bill. Dał Manikowi sygnał, żeby wezwał pomoc przez radio. - Stanley, twojej żonie trzeba zrobić prześwietlenie i zszyć ranę. Być może potrzebna będzie

operacja. To zbyt duże ryzyko, nawet gdyby zaraz odzyskała przytomność.

- Neasden, nie martw się o pieniądze - dodał Dean. - Biuro podróży pokryje koszty. Jardine Latimer dba o swoich klientów. Nie będą chcieli zniszczyć sobie reputacji. Zatem możesz się nie martwić rachunkiem.

W tym momencie Sylwia jęknęła i zamrugła powiekami.

- Patrzcie, odzyskuje przytomność - zawołał Stanley. - Nie trzeba wzywać helikoptera. Jeśli ruszymy teraz, będziemy w Male o...

- Człowieku, zastanów się - powiedział z przekąsem Dean. - Nie jesteście sami na pokładzie. Inni nie chcą płynąć do Male.

- I tak mieliśmy spędzić tam dzień. Co za różnica, czy pojedziemy tam dzisiaj, czy w przyszłym tygodniu?

- Twoją żonę prawdopodobnie zatrzymają w szpitalu na obserwację. Zgadza się, Bill? - upewnił się Dean, a kiedy lekarz kiwnął głową, ciągnął dalej: - Jeśli Sylwia wydobrzeje do czasu naszego przybycia do Male, wróćcie na pokład i popłyniecie dalej z nami. Jednak, mimo że wszyscy tutaj bardzo wam współczujemy, nie oczekuj, że zmienimy cały plan podróży z powodu tego wypadku.

Kilka chwil później pojawił się Manik z wiadomością, że helikopter jest w drodze.

Billowi wyraźnie ulżyło.

- Janet, czy mogłabyś pomóc Stanleyowi się spakować? Na twoim miejscu zabrałbym wszystkie rzeczy, Stanley. Może się okazać, że Sylwia będzie potrzebowała dłuższego leczenia albo nie będzie w stanie wrócić na pokład „Bryzy”. Lepiej, żebyś miał wszystko przy sobie.

- Ale... - chciał zaprotestować Stanley.

- Chodź, Stanley. Helikopter może wkrótce tu być. Nie powinni na ciebie czekać - powiedziała grzecznie, ale stanowczo Janet.

Kiedy zniknęli pod pokładem, Dean zwrócił się do Billa:

- Zakładam, że polecisz z nimi, prawda? Żeby patrzeć malediwskim kolegom na ręce.

Lekarz kiwnął głową.

- Na wypadek gdyby helikopter nie mógł przywieźć mnie od razu z powrotem, wezmę jakieś rzeczy. Charlotte, mogłabyś poprosić Janet, żeby mnie spakowała?

- Ja to zrobię - powiedział Dean. - Też idę się spakować. Polecę z wami, Bill. Mam kontakty w Londynie. Mogą się przydać.

Zniknął pod pokładem. Charlotte dała Manikowi znak, że chce z nim porozmawiać na osobności.

- Czy powinnam jechać z nimi? Może przyda im się ktoś mówiący w dhivehi?.

- Nie, to niepotrzebne - odparł. - W szpitalu mówią po angielsku. Nie podoba mi się wygląd pani Neasden. Silne uderzenie w głowę to poważna sprawa. Obawiam się, że może mieć uszkodzoną czaszkę i mózg. Może potrzebować poważnej operacji.

Charlotte myślała to samo. Sylwia wciąż nie wróciła w pełni do świadomości. Otworzyła oczy, ale nie dała żadnego znaku, że wie, gdzie jest i co się stało. Wymamrotała tylko, że boli ją głowa, i znowu straciła przytomność.

Czekanie się dłużyło, ale w rzeczywistości helikopter pojawił się na horyzoncie całkiem szybko. Był wyposażony w pływak. Usiadł niedaleko od kotwicy szkunera. Charlotte wolała się nie zastanawiać nad tym, jak wyglądałby transport rannego do helikoptera, gdyby morze było wzburzone. Na szczęście było niemal zupełnie gładkie. Pacjentka, jej mąż, Bill i Dean bez przeszkód rozpoczęli lot do stolicy.

Ci, którzy pozostali na „Bryzie”, pomachali helikopterowi odlatującemu na południe. Manik zdążył już wydać rozkazy załodze. Postanowił zmienić trasę rejsu. Zamiast spędzić noc na małej, bezludnej wysepce, mieli popłynąć na dużą wyspę, którą nazywał Meeru, co było skrótem od Meerufenfushi, czyli „Słodka Woda”.

Wieczorem Janet została wezwana do telefonu. Po niedługim czasie wróciła do reszty towarzystwa siedzącego dookoła okrągłego stołu na plaży przed największym barem wyspy.

- To był Bill. Stan Sylwii się poprawił. Zrobiono jej prześwietlenie, zszyto ranę. Teraz jest pod kroplówką. Zatrzymają ją na obserwacji przez czterdzieści osiem godzin. Bill i Dean zostają na noc, przede wszystkim jako moralne wsparcie dla Stanleya. Wracają rano.

- Biedna Sylwia! Założę się, że jak tylko wydobrzeje, Stanley da jej popalić - powiedziała Olly. - Co z niego za człowiek! Gdyby był moim mężem, wsypałabym mu arsenik do herbaty!

Wieczorem, kiedy znaleźli się z powrotem na pokładzie, Charlotte wyciągnęła się wygodnie na materacu, a wtedy nadszedł Manik. Zwykle ani on, ani nikt z załogi nie zbliżał się w ten rejon pokładu w nocy. Usiadła. Ciekawa była, dlaczego przyszedł właśnie teraz, kiedy nie ma Deana. Odezwał się cichym głosem, w języku dhivehi:

- Nie bój się. Nie dotknę cię.

Przykucnął. Tego wieczoru po raz pierwszy miał na sobie tradycyjne lungi z kraciastej bawełny barwionej na indygo i brąz. W każdym razie tak wyglądały kolory w świetle księżyca.

- Jesteś na mnie zła o to, co się stało na Boduhithi? - To mogło być zarówno pytanie, jak stwierdzenie faktu.

- Manik, to ty byłeś na mnie zły - przypomniała mu Charlotte.

- A jak ma się czuć mężczyzna, kiedy kobietę, której pożąda, obejmuje inny mężczyzna... z jej przyzwoleniem? Jednak powinienem okazać swój gniew jemu, a nie tobie.

Charlotte nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy on jej mówi, że ją kocha?

Zanim zdążyła cokolwiek z siebie wykrztusić, Manik znowu się odezwał:

- Maumoon oskarża siebie o dzisiejszy wypadek. Powiedziałem mu, że to nie jego wina. On uważa, że ta kobieta umrze. Twierdzi, że nikt, kto uderzył się tak mocno w głowę, nie może przeżyć. A ona nie jest silną, zdrową kobietą.

Była zupełnie zbita z tropu zmianą tematu.

- Czy Maumoon albo ty możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności za ten wypadek?

- Kapitan odpowiada za wszystko, co się wydarzyło na pokładzie po wyjściu w morze. Jeśli pani Neasden będzie musiała przejść kosztowną operację albo jeśli jej mąż zażąda rekompensaty, właściciele „Bryzy” nie będą zachwyceni.

- Przecież muszą być ubezpieczeni.

- Na pewno, ale mimo to nie będzie im się to podobało. Maumoon jest bardzo zmartwiony. Ma piątkę dzieci na utrzymaniu. Boi się, że właściciele mogą mnie zmusić do zwolnienia go i znalezienia kogoś nowego na jego miejsce.

- Nie zgodziłbyś się, prawda?

- Nie, ale właściciele to ludzie interesów... twardzi ludzie, dla których liczy się tylko zysk. Mnie też mogą zwolnić. Na brak chętnych do zajęcia mojego miejsca nie narzekają.

- Wątpię, czy wielu z nich ma takie doświadczenie i władza tak dobrze angielskim - powiedziała Charlotte. - W broszurce biura podróży podkreśla się, że kapitan „Bryzy”

mówi biegle po angielsku. A z biurami podróży właściciele muszą się liczyć.

- To prawda. Ale dziewczyna, którą spotkałaś na lotnisku, mówi, że biuro, które wynajmuje "Bryzę", zmieniło właściciela. Kupiła je większa firma. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale...

- Jardine Latimer - weszła mu w słowo Charlotte. - To znana nazwa w Europie. Ja również dla nich pracuję. Mówiłam ci, że pracuję w biurze podróży. Właśnie w tym, które kupił Jardine Latimer.

- Więc wiesz o nim więcej niż Liz, ta Australijka? - zapytał Manik.

- Niespecjalnie. Wiem to, co wszyscy. Zajmują się organizowaniem podróży od ponad stu lat. Dziadek jeździł z nimi za młodu. To rodzinna firma przekazywana z ojca na syna. Każde pokolenie wnosi coś nowego. Obecny szef Jardine Latimer należy podobno do najbogatszych ludzi w Anglii.

- Dla takiego człowieka cena „Bryzy” to tyle co nic. Gdybym mógł z nim porozmawiać, może pożyczłby mi pieniądze na własny szkuner. Szkoda, że jest tak daleko, jak gwiazdy na niebie - powiedział, patrząc w górę.

- Możesz do niego napisać - zauważyła Charlotte.

- Do bogaczy przychodzi wiele listów od ludzi z prośbą o pieniądze. Na pewno ma sekretarkę, która zajmuje się takimi listami. Mój nigdy by do niego nie dotarł.

- Skąd wiesz? Mógłby dotrzeć, gdyby sekretarka uznała twoją propozycję za sensowną. Co masz do stracenia? Tylko parę groszy na kopertę i znaczek. Jeśli chcesz, pomogę ci go napisać.

Manik wstał.

- Pomyślę o tym. - Spojrzał na nią z góry. - Inni nazywają cię Charlotte i takie imię podałaś w dokumentach. Już nie nazywasz się Pet?

- Moje prawdziwe imię to Charlotte - wyjaśniła. - Kiedy pojechałam do Anglii, nie mogłam się na początku przyzwyczaić do tego imienia. Od śmierci dziadka nikt nie mówił do mnie Pet.

- Był dobrym człowiekiem. Bez niego byłbym nikiem.

- Jakkolwiek potoczyłoby się twoje życie, zawsze byłbyś człowiekiem godnym szacunku - oświadczyła Charlotte. - Nie pamiętasz, jak dziadek nam mówił, że przede wszystkim trzeba szanować siebie?

- Pamiętam. Zapomniałem o tym, kiedy cię pocałowałem na Boduhithi. Mężczyzna nie powinien siłą zmuszać kobiety, by mu uległa. Przepraszam.

- Przyjmuję przeprosiny. Zapomnijmy o tym.

- Nie mogę. Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy pierwszy razem poczułem twoje wargi na swoich wargach. Dobranoc, Pet... Charlotte.

Bardzo wczesnie rano, nim jeszcze się rozjaśniło, Charlotte wskoczyła do wody i popłynęła na brzeg z sarongiem i pomarańczą w plastikowej torbie. Tak, jak pierwszego poranka rejsu, chciała zbadać wyspę, która była stosunkowo duża.

Mimo że długo leżała bezsennie po odejściu Manika, w końcu zapadła w głęboki sen i nic jej się nie śniło. Spacerując wzdłuż plaży, mijając jednopiętrowe bungalowy sypialne z werandami i centrum windsurfingowe ze stertami desek, zastanawiała się, jaką noc mieli za sobą Dean i Bill i czy wrócą dziś na "Bryzę".

Nie czuła sympatii do Stanleya, ale żal jej było Sylwii. W najlepszym wypadku czuła się bardzo kiepsko, a w najgorszym tego ranka mogła trafić na salę operacyjną.

Kiedyś, gdy pracowała w Hiszpanii, Charlotte spędziła noc w szpitalu z starszą turystką, która złamała nogę. W wielu hiszpańskich szpitala zapewnia się jedynie opiekę medyczną, reszta należy do rodzin pacjentów. Zanim przyleciał syn i synowa poszkodowanej, jedyną osobą, która mogła się zaopiekować panią Shadwell, była Charlotte.

Kilka tygodni później Charlotte dostała z firmy przesyłkę ze wspaniałym kompletem srebrnych, dziewiętnastowiecznych sztucców. Dyrektor jej biura podróży otrzymał list od pani Shadwell, wychwalający uprzejmość i troskliwość Charlotte. Oddzielny list, zaadresowany do Charlotte, wyjaśniał, że sztucce były prezentem ślubnym, który babka pani Shadwell dostała od pani, u której pracowała jako osobista pokojówka. Synowa pani Shadwell nie przepadała za starociami, a z rozmowy z Charlotte Amy Shadwell wiedziała, że Charlotte bardzo je lubi.

Przypomniała sobie wspaniały komplet, który złożyła w bankowej skrytce. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wyjmie sztucce z tego wspaniałego pudełka z mahoni wyłożonego zielonym aksamitem. Czy kiedykolwiek będzie ich używała? Czy będzie miała dla kogo?

W północnej części Meerufenfushi plaża stawała się szersza. Dobrze, że Charlotte miała na nogach plastikowe sandały, w których chodziła po rafach, bo tutaj musiała wspinać się na skałki i przedzierać się przez gęste mangrowce rosnące nad wodą. Powietrze aż gęste było od złocistych ważek.

Kiedyś to był jej świat, który na zawsze zapadł jej głęboko w serce. Tak głęboko, że przez siedem ostatnich lat myślała tylko o tym, żeby tu przyjechać. Chciała zostać przedstawicielem biura podróży w jednym z tutejszych kurortów. I dopięła swego. Po raz pierwszy firma wyznaczyła kobietę na tak znaczące stanowisko.

Z tego powodu przez wiele lat przedkładała pracę nad inne sprawy, nad życie prywatne. A teraz, kiedy przyszedł czas nagrody, ogarnęły ją wątpliwości. Czy rzeczywiście tu jest jej miejsce? A może jednak w Europie, gdzie mieszka Dean?

Poszybowała myślami do Male... Male, gdzie teraz może Dean się goli albo bierze prysznic. Zadrżała, wyobrażając sobie jego nagie ciało pod prysznicem, z mydlinami spływającymi w dół i mokrymi, ciemnymi włosami.

Czy ten pociąg miał podłoże jedynie fizyczne? A może było między nimi coś więcej?

Rejs dobiegał półmetku. Zostało bardzo niewiele czasu.

Przy śniadaniu Vic powiedział:

- Przypuszczam, że przyplyną na dhoni, który zabiera ludzi stąd na jednodniową wycieczkę do Male. Nie zobaczymy ich przed wieczorem.

Jednak po południu na horyzoncie pojawił się helikopter, który skojarzył się Charlotte z ważkami widzianymi na plaży. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie leci na żadną inną wyspę, a na Meeru, serce zabiło jej szybciej... i zaraz ścisnęło się na myśl, że to wcale nie musi być Dean, tylko jakaś nieznana, ważna osobistość albo ktoś z administracji wyspy.

Helikopter wylądował na boisku do piłki nożnej. Ze środka wysiedli Dean i Bill.

- Co nowego? - zapytała, siląc się na spokój, kiedy się zbliżyli.

- Jest nie najgorzej - odpowiedział Bill. - Sylwia nie odzyskała jeszcze stuprocentowej formy, ale dochodzi do siebie szybciej, niż się wczoraj spodziewałem. Jest w dobrych rękach.

Podbiegła do nich Janet. Kiedy się witała z Billem, Dean zwrócił do Charlotte:

- Jaka jest ta wyspa? Z góry prezentowała się nieźle.

- Sama wyspa jest przepiękna. Niestety, pełno tu tanich bungalowów - odparła Charlotte. - A jak było w Male?

- Po wyjściu ze szpitala przeszliśmy się Billem po mieście. Sklepy są otwarte do późna. Zjedliśmy rewelacyjną kolację w restauracji na nabrzeżu. Kupiłem ci prezent. Jeśli rozmiar będzie niedobry albo nie będzie ci się podobało, można to zamienić, kiedy będziemy w Male.

Dean włożył rękę do torby i wyciągnął z niej paczkę.

- Jak miło z twojej strony - ucieszyła się Charlotte. - Mogę teraz otworzyć?

- Czemu nie?

Jej oczom ukazała się bluzka z kawałków bawełnianego batiku zszytych razem na zasadzie patchworku.

- Kupiłem dwie... jedną dla mojej matki. Lubi w czymś takim pracować.

- Jest piękna! - zachwyciła się podekscytowana Charlotte, wkładając bluzkę na siebie. - Podziwiałam takie w sklepie na Boduhithi. Jestem pewna, że twojej mamie bardzo się spodoba, tak jak mnie. Dziękuję ci, Dean.

Ku jej zaskoczeniu nadstawił policzek do pocałunku. Mimo że Janet i Bill patrzyli na nich, nie miała wyboru i cmoknęła go delikatnie.

- Wspaniała - pochwaliła bluzkę Janet. - Dean, powiesz mi, gdzie ją kupiłeś? Sprawiałabym prezenty naszym dziewczynom. Bill, czemu ty ich nie kupiłeś?

- Nie byłem pewien, czy im by się spodobały. Zwykle, kiedy kupuję coś dla moich kobiet, słyszę potem, że to okropne, i muszę zanosić z powrotem do sklepu - wyjaśnił Deanowi i Charlotte z uśmiechem. - Poza tym Dean umie się targować, a ja nie. Chcieli za tę bluzkę dwadzieścia dolarów. Dean zbił cenę do... - Kuksaniec od żony kazał mu przerwać. - Och, przepraszam, wszystko bym wypaplał. Zresztą,

najważniejsza jest nie cena, a fakt, że Dean pomyślał o prezencie, prawda, Charlotte?

- Zdecydowanie tak - przyznała mu rację. - A ponieważ sama lubię się targować, fakt, że Dean zbił cenę, tylko zwiększa mój podziw i wdzięczność dla niego. I tak chcieli za te bluzki o połowę mniej niż na Boduhithi. W Londynie natomiast kosztowałyby zapewne dużo więcej.

Zdjęła bluzkę i starannie ją złożyła.

- A jak Stanley zareagował na wasz wyjazd? - zapytała Janet.

- Nie był zachwycony tym, że zostaje sam, ale biuro podróży, zgodnie z przewidywaniami Deana, stanęło na wysokości zadania. Sylwia zostanie jeszcze dzień lub dwa w szpitalu na obserwacji. Lekarze chcą się upewnić, czy mózg nie doznał żadnych urazów. Na szczęście, prognozy są dobre. Kiedy ją wypuszczą, ona i Stanley polecą na wyspę Bandos i tam spędzą resztę wakacji. Zobaczymy się z nimi dopiero w samolocie do Londynu.

Kiedy ta wiadomość dotarła do Manika, zaproponował od razu, żeby Dean przeniósł swoje bagaże do zwolnionej kabiny, dzięki czemu Charlotte miałaby kajutę dla siebie.

- Jeśli pan pozwoli - zwrócił się do Deana.

Było to powiedziane tonem rozkazującym. Charlotte obawiała się, że Dean może ostro zareagować. Na szczęście się pomyliła.

- Oczywiście, kapitanie - powiedział bez cienia sarkazmu.

- Jeśli nie potrzebujesz teraz kajuty, zejść i od razu się przeniosę

- oznajmił Charlotte.

To było dziwne uczucie. Wieczorem zeszła na dół, żeby przebrać się do kolacji, i w kajucie znalazła tylko swoje rzeczy. Zdążyła się już przyzwyczać do widoku koszul Deana

na wieszakach, jego książek i innych drobiazgów na górnej koi. Poczwała, że coś utraciła.

Następnego popołudnia rzucili kotwicę przy innej wyspie i popłynęli na brzeg. Mieli zwiedzić skład suszonych ryb i miejscową wioskę. Charlotte poszła do kajuty, żeby włożyć coś, co nie uraziłoby poczucia przyzwoitości wyspiarzy.

Zdjęła więc szorty i skąpy top. Szczotkowała właśnie włosy, niemal zupełnie naga z wyjątkiem malutkich, bawełnianych majteczek, kiedy otworzyły się drzwi. Zaskoczona, zastygła z podniesioną do góry ręką, w której trzymała szczotkę.

Drzwi otworzył Dean. On również stał jak wmurowany.

- Och... przepraszam... to przyzwyczajenie - wydusił z siebie w końcu po sekundzie czy dwóch. - Zapomniałem, że to już nie moja kajuta.

Po przeprosinach wcale się jednak nie wycofał. Szare oczy wolno przesunęły się po ciele Charlotte. A jej zabrakło tchu. Następnie Dean zamknął drzwi, ale bynajmniej nie od zewnątrz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po raz pierwszy znaleźli się sam na sam w zamkniętej kajucie. Ciasnota pomieszczenia eksponowała rozmiary Deana. Oparł się plecami o drzwi. Był równie szeroki w ramionach jak one. Sufit znajdował się zaledwie pięć centymetrów nad jego głową. Charlotte spojrzała na wilgotne po pływaniu, ciemne włosy, które odgarnął do tyłu palcami. To go odmładzało. Efekt potęgowały dodatkowo dzinsowe szorty opuszczone nisko na biodrach, eksponujące twarde i płaski brzuch.

Dean cichym głosem przerwał milczenie.

- O tobie Byron napisał te słowa: „Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina gwiazdziste niebo bez śladu obłoku”.

Cytując wiersz, pieścił ją wzrokiem. Jej ciało reagowało tak, jakby rzeczywiście jej dotykał, gładził ramiona, piersi, brzuch, biodra, uda. To było najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Nikt się z nią nigdy tak nie kochał, posługując się jedynie głosem i wzrokiem. Nie przypuszczała nawet, że to w ogóle możliwe. Dean nie dotykał jej, a czuła tak silną, przemożną rozkosz.

Nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, co robi, opuściła rękę, w której trzymała szczotkę, odłożyła ją na koję i oddychając nierówno, czekała na to, co Dean robi.

A wtedy on oderwał się od drzwi i w następnym momencie znalazła się w jego ramionach. Na piersiach czuła jego nagi, umięśniony tors. Pocałowali się namiętnie.

- Idę na dół włożyć spódnice. Zaraz będę z powrotem.

To był głos Janet, który dobiegł z pokładu nad ich głowami. Charlotte otworzyła oczy i w jednej chwili wróciła na ziemię. Nie byli sami.

Kiedy oderwali się od siebie, zdała sobie sprawę z tego, że mimo włączonego wentylatora oboje spływają potem. Jednak zanim przeszkodził im głos Janet, żadne z nich nie zdawało

sobie z tego sprawy. Liczyło się jedynie pożądanie, które ich ku sobie popychało.

- Zdaje się, że wyprawa na brzeg rusza szybciej, niż nam się zdawało. Lepiej się stąd wyniosę. Później porozmawiamy - powiedział chrapliwym głosem Dean.

Musnął wargami jej policzek i zniknął za drzwiami.

Charlotte zupełnie nie obchodziło, czy ktoś widział, jak Dean wychodził z jej kajuty. Miała ochotę rzucić się na koję. A najlepiej byłoby ochłodzić się w morzu.

Nie miała jednak na to czasu.

Kiedy wyszła na pokład, reszta pasażerów siedziała już w dinghy albo czekała na swoją kolejkę koło drabinki. Rzuciła okiem na Deana. Wyglądał tak spokojnie, jakby ostatnie pół godziny spędził, dyskutując z profesorem o racjonalizmie.

Może ona też wyglądała równie spokojnie, ale na pewno tak się nie czuła. W ramionach Deana odnalazła nową siebie, istotę bez zahamowań. Nigdy tego nie doświadczyła, najwyżej w fantazjach, nie w prawdziwym życiu. Żaden z mężczyzn, których знаła, nie był tak wymagający, a jednocześnie tak czuły jak Dean. Sposób, w jaki on kochał, był dla niej niczym objawienie.

Manik wyglądał na rozdrażnionego. Przez chwilę pomyślała, że może wie o wizycie Deana w jej kajucie, a nawet że przyspieszył wyprawę na brzeg, chcąc przerwać to, co jak podejrzewał, tam się działo.

Ich przybicie do nabrzeża obserwowała grupa mężczyzn siedzących w cieniu dużego drzewa figowego, którego korzenie wyrastające z gałęzi sprawiały, że wyglądało jak kilka drzew. Na linach zawieszona była prymitywna huśtawka.

Było wczesne popołudnie. Pylista droga do składu suszonego tuńczyka data im w kość z powodu temperatury.

Wioska, z uliczkami wysypanymi białym, koralowym piaskiem i murami domów wzniesionymi z koralu, przypominała Charlotte Thabu, chociaż tam większość domów była wykonana z drewna i słomy.

Weszli właśnie do sklepiku z muszlami i podkoszulkami. Pasażerowie oglądali różne drobiazgi, a Manik pograżył się w rozmowie z jakimś miejscowym. Kiedy do środka wbiegł mały chłopiec, pogłaskał go po głowie i dał mu cukierka wyciągniętego z kieszeni.

Widać było, że lubi dzieci, a one lubią jego. Kiedy szli przez wioskę, malcy rzucali mu pełne uwielbienia spojrzenia: chłopcy uważali kapitana „Bryzy” za kogoś w rodzaju bohatera, a dziewczynki podziwiałały jego urodę.

Charlotte starała się nie patrzeć na Deana. Obawiała się, że mogłaby nie zapanować nad sobą.

Kiedy wrócili na szkuner, a reszta pasażerów zeszła na dół, żeby się przebrać do kolacji, Dean dotknął lekko ramienia Charlotte.

- Chodźmy na chwilę na dziób - poprosił. - To nie do zniesienia - powiedział, kiedy uznał, że już nikt nie może ich usłyszeć. - Chciałbym mieć cię tylko dla siebie. Jutro jedziemy do Male. Może wynajmiemy tam na łódź i popłyniemy na Kudahithi. To podobno doskonałe miejsce dla ludzi, którzy chcą być sami.

- Dla milionerów, którzy chcą być sami - poprawiła go Charlotte. - Nie stać mnie na Kudahithi.

- Dobrze, znajdziemy coś tańszego. - Dean pochylił głowę. Jego wargi prawie dotykały jej ucha. - Nie obchodzi mnie, dokąd pojedziemy, jeśli ty będziesz ze mną i będziemy mogli gdzieś się zaszyć.

Zapamiętanie w jego głosie sprawiło, że Charlotte przeszył dreszcz. Ona również marzyła o tym, by znaleźć się gdzieś, gdzie mogliby pójść do łóżka. Ale nie tylko tego

chciała. Pragnęła usłyszeć, że on ją kocha, że pragnie jej duszy i serca, a nie tylko ciała.

- Sama nie wiem - odparła. - Już brakuje dwójki na pokładzie. Jeśli ja i ty też się odłączymy...

- Przecież to nie jest prywatne przyjęcie. Nie jesteśmy w gościnie. Nie mamy obowiązku zostać.

- Wiem, ale... Manikowi się to nie spodoba.

- Manikowi? A co on ma do tego?

- Nie chciałabym... nie chciałabym, żeby myślał, iż wszyscy Europejczycy są pozbawieni moralnych zasad. A utwierdziłby się w tym, gdybym z tobą wyjechała.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie myśli Manik - zniecierpliwiał się Dean. - Czy ty nie masz ochoty spędzić reszty wakacji ze mną?

- Niczego nie rozumiesz - odparła, chcąc uniknąć odpowiedzi na to pytanie. - Zresztą, dlaczego miałbyś rozumieć, skoro nic ci nie powiedziałam... Widzisz, jestem nie pierwszy raz na Malediwach. Wychowałam się tutaj, a Manik jest moim przyjacielem z dzieciństwa. Dlatego nie mogę machnąć ręką na to, co on o mnie myśli.

- Aha. To wiele wyjaśnia, ale w niczym nie zmienia faktu, że powinnaś sama decydować o tym, co pragniesz robić i co uważasz za słuszne. Jeśli nie chcesz być ze mną, to nie używaj Manika jako wymówki. To twoja decyzja.

- Nie używam go jako wymówki - zaprotestowała Charlotte. - Po prostu... nie chcę zrobić czegoś, czego mogłabym potem żałować.

Dean oparł nadgarstek o jej ramię i zaczął pieścić delikatnie jej kark.

- Nie jesteś napaloną nastolatką, Charlotte. Jesteś dojrzałą, rozsądną kobietą. Dlaczego nie chcesz zaufać swojemu instynktowi? Zrobiłaś to dziś po południu. Padłaś w moje objęcia, jakby to było właśnie twoje miejsce.

Na wspomnienie popołudniowego incydentu oblał ją żar. Zapragnęła znowu znaleźć się w ramionach Deana i czuć jego wargi na swoich.

- Nie popędzaj mnie, proszę - powiedziała z wysiłkiem. - Muszę to wszystko przemyśleć. Jeśli ty... - przerwała.

Odsunął rękę.

- Jeśli ja... co?

- Pamiętasz Liz, tę Australijkę, która odebrała nas w Male?

- Tak, ale nie widzę najmniejszego związku.

- Zarabiam na życie w ten sam sposób, jak ona. Wielokrotnie widziałam, jak ludzie robili z siebie głupków na wakacjach. Nawet nie wiesz, jak łatwo jest... dać się ponieść.

- Wiem - odpowiedział. - Mam trzydzieści pięć lat. I kilka razy dałem się ponieść. Ty zapewne również. Dlatego właśnie myślę, że powinniśmy spędzić resztę wakacji we dwoje. Musimy się wiele o sobie dowiedzieć, zanim czas się skończy i będzie trzeba wracać do Anglii.

- Potrzeba dużo więcej czasu niż dwa tygodnie, żeby się naprawdę poznać - stwierdziła. - Wątpię, czy wspólny wyjazd w czymkolwiek by pomógł. Jestem pewna, że... dobrze byśmy się bawili. Tylko że jeszcze trudniej byłoby się nam potem pożegnać... zwłaszcza mnie. Mężczyznom łatwiej jest zapomnieć o wakacyjnym romansie niż kobietom.

- Istnieje też ewentualność, że nie musielibyśmy się żegnać - powiedział miękko.

I w tym momencie gong wezwał ich na kolację.

Podczas posiłku do pasażerów podszedł Manik.

- W nocy będzie wiał silny wiatr... zbyt silny, by spać na pokładzie. Proszę dzisiaj przenieść się do kajuty - polecił, spoglądając na Charlotte i Deana. - Jutro płyniemy do Male, gdzie będą państwo mogli zrobić zakupy, a także odwiedzić

meczet i muzeum. Panie nie muszą się obawiać napaści czy molestowania. Małe jest bezpieczne.

- Nie wygląda mi to na bezpieczne miejsce - denerwowała się Diane następnego ranka, kiedy dinghy płynęła wzdłuż nabrzeży, szukając miejsca do zacumowania.

Charlotte rozumiała, że dla kogoś takiego jak Diane, kto nie był w żadnym wschodnim porcie, miejsce to musi się wydawać dość groźne. Pośród wielu dhoni były większe jednostki, które nazywano vedi. Przyplłynęły one z zewnętrznych atoli. Miały palmowe daszki, mniej lub bardziej zdewastowane. Wokoło widać było niewiele kobiet, a mężczyźni byli przeważnie nie ogoleni, bosonodzy i raczej nie wzbudzali zaufania.

Dla Charlotte, która była tu niezliczoną ilość razy z dziadkiem, żeby odebrać pocztę i zrobić zakupy, doki Małe i wąskie uliczki w głębi były ekscytujące i ciekawe.

W tamtych czasach nie było jeszcze wielkiej, złocistej, cebulastej kopuły ogromnego meczetu ani mniejszej minaretu, skąd pięć razy dziennie zwoływano wiernych na modlitwę.

W końcu Maumoonowi udało się znaleźć miejsce do zacumowania niedaleko targu rybnego. Manik poprosił pasażerów o powrót o pierwszej na lunch, który mieli zjeść na pokładzie szkunera. Potem ci, którzy będą chcieli, wrócą znowu do miasta.

- O, nie! Nie mówcie mi, że będę musiała to przejść jeszcze trzy razy! - jęknęła Diane.

Tego ranka morze było dość wzburzone. Dinghy podskakiwała mocno na falach, a Diane, schodząc po drabince, bała się, że wpadnie do wody. Nawet obecność Deana i Manika jakoś jej nie uspokajała. Była bliska hysterii. Nie potrafiła sobie jednak odmówić wyprawy do sklepów.

- Nie martw się, kochanie. Na pewno znajdzie się jakieś miejsce w mieście, gdzie będziemy mogli zjeść lunch. A do

wieczora wiatr może się uspokoić - powiedział profesor. - Proponuję ruszyć na poszukiwania kawiarni, gdzie będziesz mogła zebrać siły.

- Byłoby cudownie, Paddy - ucieszyła się wdzięczna Diane. Wyjęła z torebki małe lusterko i krzyknęła przerażona na widok rozmazanego pod oczami tuszu do rzęs.

- Nie idziecie do szpitala, żeby odwiedzić Sylwię? - zapytała Janet.

- Raczej nie. Na pewno nie marzy o tłumie gości, prawda? Pozdrówcie ją od nas - rzuciła bez troski Diane.

Kiedy przyszli, Sylwia siedziała na ocienionej werandzie. Była sama. Stanley poszedł zwiedzać miasto. Tego popołudnia wybierali się na wyspę, gdzie miała w pełni odzyskać siły.

- Bez wątpienia pięknie cię pozszywali - stwierdził Bill, oglądając miejsce, gdzie wygolono Sylwii włosy i założono szwy.

- To podobne do Stanleya, żeby ją tak zostawić samą - zauważyła Janet po wyjściu ze szpitala. - O, patrzcie, kogo widzimy. Gdzie kupiłeś takie piękne kwiaty, Manik?

- Mam w Male przyjaciela, który hoduje kwiaty w ogrodzie. Poprosiłem o kilka dla pani Neasden - wyjaśnił. - Jak ona się czuje?

Porozmawiali chwilę o zdrowiu Sylwii i wkrótce się rozstali. Manik poszedł do rekonwalescentki, a oni ruszyli na podbój miasta.

- Miło z jego strony, że pomyślał o odwiedzinach w szpitalu - powiedziała Janet. - Trochę się zdziwiłam, że Dean z nami nie przyszedł. Nie oczekiwałam, że zrobi to Diane, ale po Deanie spodziewałam się jednak drobnego poświęcenia.

- To nie w porządku, kochanie - zaprotestował Bill. - Przypominam ci, że przyjechał tutaj w dniu wypadku. On wpadł na pomysł, żeby wysłać do Londynu faks z wiadomościami o tym, co się stało, więc to jemu Neasdenowie

powinni być wdzięczni za doskonałą opiekę w szpitalu i propozycję na dalszy ciąg wakacji. A i ja byłem bardzo zadowolony z jego towarzystwa tamtej nocy.

Dean oddzielił się od reszty. Spotkali się z nim dopiero w porze lunchu, przy dinghy. Manik zawiadomił ich, że wiatr się wzmógł i dlatego zamówił im lunch w hotelu Market. Nie był to hotel w europejskim znaczeniu tego słowa, tylko duża restauracja, do której prowadziły schody wprost z targu rybnego, gdzie na betonowych podmurówkach leżały rzędy tuńczyków i makreli.

Restauracja była zatłoczona. Pełno w niej było mężczyzn i młodzieży, ale żadnych kobiet. Wejście trzech cudzoziemek ściągnęło wiele ciekawych, choć pozbawionych seksualnego podtekstu spojrzeń.

Dla Europejczyków przygotowano duży stół z widokiem na port. Zastawiono go miseczkami z ryżem, curry, różnymi sosami, pokrojonymi w plasterki pomidorami i cebulą, startym kokosem i roshi, chlebem przypominającym naleśniki.

Manik i dwoje ludzi z jego załogi jadło razem z pasażerami. Dla Charlotte to był najlepszy posiłek podczas podróży. Prawdziwe jedzenie Malediwów, dużo bardziej pikantne niż to serwowane im na pokładzie.

Jednak dla innych, z wyjątkiem Deana, potrawy były zbyt ostre. Dean spróbował wszystkiego i brał sobie nawet dokładki. Od czasu do czasu, kiedy podawano sobie półmiski, Charlotte spotykała jego spojrzenie. Zastanawiała się, czy jest równie niewyspany jak ona.

Wciąż nie podjęła decyzji, przed którą stanęła poprzedniego wieczora. A czas uciekał. Niedługo będzie musiała coś postanowić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy podano im deser, Charlotte spojrzała na zegarek, a potem pochyliła się w stronę Manika.

- Przepraszam, ale chciałabym iść do meczetu przed popołudniowymi modłami.

- Spotykamy się tu punktualnie o czwartej - odpowiedział, spoglądając z troską przez okno na wzburzone morze.

Kiwnęła głową i wstała od stołu. Ulżyło jej, że Dean nie próbował iść z nią. Inni już wcześniej powiedzieli, że nie chcą zwiedzać meczetu. Być może jego też to nie interesowało. Albo wyczuł, że ona jeszcze nie podjęła decyzji.

Wiedziała, że piętnaście minut przed modlitwą i godzinę po meczet będzie zamknięty dla wszystkich, którzy nie są wyznawcami islamu. Nie wpuszczono by jej również, gdyby była nieodpowiednio ubrana. Przygotowała się zatem na tę okazję. Zdjęła buty, umyła nogi i weszła do wielkiej sali z drewnianymi, rzeźbionymi drzwiami, w której mieściło się sześć tysięcy ludzi. Potem zobaczyła resztę kompleksu, w tym bibliotekę i klasy szkolne.

Wyszła na zewnątrz i zeszła na dół imponująco szerokimi schodami. U ich stóp czekał na nią Dean. Kiedy go zobaczyła, wiedziała już, jaką musi mu dać odpowiedź.

Mimo tego, co między nimi zaszło, były powody, dla których nie powinna zgodzić się na spędzenie z nim nieoficjalnego miesiąca miodowego. Po pierwsze, o czym mu powie, nie chciała zranić Manika. Był i drugi powód, którego nie zamierzała zdradzić. Musiała się upewnić, że Dean ją kocha. Jeśli będzie to wiedziała, pojedzie z nim choćby na koniec świata.

- Po drugiej stronie ulicy jest mały park, gdzie można usiąść w cieniu - powiedział, kiedy się zbliżyła. - Podjęłaś decyzję?

Kiwnęła głową.

- Przykro mi, Dean. Nie mogę z tobą jechać. Przede wszystkim ze względu na Manika. Obawiam się, że i bez tego będę musiała wyznać mu coś, co będzie dla niego przykre. A wyjazd z tobą byłby już prawdziwym okrucieństwem.

Przyjął jej odpowiedź w ciszy. Minęli bramę parku, który kiedyś był częścią ogrodu otaczającego pałac sułtana. Szli wolno główną aleją.

W końcu Dean przerwał milczenie.

- Dzwoniłem dziś rano do Londynu. Moja matka jest chora. Upadła i ma jakieś problemy z kręgosłupem. Być może to nic poważnego. Kazała zresztą nic mi nie mówić, ale moja sekretarka uznała, że powinienem wiedzieć. Lecę do domu dziś wieczorem. Zatem moja wczorajsza propozycja i tak jest już nieaktualna.

- Rozumiem. - Gdyby poinformował ją o tym wcześniej, mogłaby uniknąć odrzucenia jego propozycji. - Przykro mi z powodu twojej matki. Jak to się stało?

- W Anglii złapał mróz i mama poślizgnęła się na oblodzonych stopniach. To się zdarzyło nie dalej jak wczoraj. - Położył rękę na ramieniu Charlotte i odwrócił ją do siebie. - Jeśli nie mogłem cię namówić na dzielenie ze mną rajskiej idylli, to pewnie nie uda mi się też uprosić cię, żebyś zrezygnowała z reszty wakacji i poleciała ze mną do subarktycznego Londynu?

- Niestety masz rację, ale muszę ci odmówić nie z powodu pogody w Anglii - odpowiedziała Charlotte.

- Nie mów, sam zgadnę... Pewnie Manikowi by się to nie spodobało - stwierdził z przekąsem.

- Manik nie ma z tym nic wspólnego. Nie wracam do Europy w przyszłą niedzielę. Zostaję tu... w pracy. Mówiłam ci, że pracuję w biurze podróży. Teraz oddelegowano mnie na jedną z tutejszych wysp. Nie w atolu Kaafu, lecz dalej na

południe. Zaczynam w następny poniedziałek. Moi szefowie na mnie liczą.

- A dla jakiego biura pracujesz? - zapytał. - Jak długo będziesz na Malediwach? - drażył, kiedy usłyszał odpowiedź.

- Przez czas nieograniczony... taki był plan. Ale plany mają to do siebie, że się zmieniają... tak jak twój.

Dean zdjął rękę z jej ramienia. Ściągnął brwi.

- Zdaje się, że znaleźliśmy się w sytuacji patowej. Ty musisz zostać, ja muszę wyjechać. Poza tym, że muszę zająć się mamą, na następne kilka tygodni jestem poumawiany z wieloma ludźmi. Bogowie sprawili, że się spotkaliśmy, żeby nas teraz rozdzielić.

Charlotte poczuła ucisk w gardle, a pod powiekami łzy. Odwróciła głowę, chcąc ukryć wzruszenie. Udawała, że przygląda się zarośłom.

- I jak tam meczet? - usłyszała znajomy głos Vika. Musiała wziąć się w garść.

- Bardzo ciekawy - odpowiedziała, kiedy Vic i Olly podeszli do nich. - Na szczęście głos jej nie drżał. - A muzeum? Podobało się wam?

- Janet i Billowi zdaje się tak. Wciąż tam siedzą - odparła Olly. - Nas nie zachwyciło. Te kolorowe stroje sułtanów całe haftowane złotem... Mnie odrzuca od takich staroci. Idziemy na lody. A wy?

- Właśnie szliśmy do muzeum - wyjaśnił Dean. - Do zobaczenia później.

- O której musisz jechać na lotnisko? - zapytała Charlotte, kiedy przechadzali się między gablotami z eksponatami.

- Około wpół do piątej. Manik organizuje mi szalupę, która zabierze mnie ze szkunera przed waszym odpłynięciem na Kuda Bandos. Spakuję się w dziesięć minut. Powiedziano mi, że prysznic można wziąć na lotnisku.

Charlotte czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w spłot słoneczny. Nie mogła uwierzyć, że rozstaną się za godzinę... być może na zawsze.

- Czy mówi pani po angielsku? - zapytał Dean towarzyszącą im strażniczkę.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się przepaszająco. Dean odwrócił się do Charlotte.

- Napiszesz do mnie, jeśli dam ci adres?

- Jeśli odpiszesz.

- Oczywiście. - Spojrzał na ich towarzyszkę. - Czy można się jej jakoś pozbyć? Chcę cię pocałować na pożegnanie. Myślisz, że napiwek coś by tu zdziałał?

- Wątpię, ale może uda mi się ją przekonać, żeby zostawiła nas samych. - Zwróciła się do dziewczyny w dhivehi: - Oddałam serce temu mężczyźnie, ale jego matka jest chora i musi wracać do Europy. Zaraz jedzie na lotnisko. Chcielibyśmy zostać sami przez kilka minut. Ręczę, że niczego nie ukradniemy ani nie zniszczymy. - Strażniczka nie wyglądała na przekonaną, więc dodała: - Mogę nie zobaczyć go przez długie miesiące... może nigdy. Muszę jeszcze raz znaleźć się w jego ramionach. Proszę, zrób to dla nas!

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał niecierpliwie Dean.

- Tylko tyle, że chcemy się w spokoju pożegnać. Dean wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Bardzo trudno mi cię opuścić. Jest takie włoskie powiedzenie: che sara, sara, co będzie, to będzie. Myślę, że nie minie dużo czasu do naszego następnego spotkania.

Nie to chciała usłyszeć. Pragnęła, żeby powiedział, iż ją kocha i wróci. Albo poprosił, żeby ona rzuciła pracę, pojechała z nim do Anglii i wyszła za niego.

- Tak myślisz? - spytała tylko. - Kto wie? Przyciągnął ją do siebie, ale nie pocałował. Przytulił mocno jak dziecko,

które potrzebuje opieki i wsparcia. Ukryła twarz na jego ramieniu i poczuła napływające do oczu łzy. Tym razem nie umiała ich powstrzymać.

Dean poczuł jej urywany oddech, kiedy próbowała zdusić szlochanie.

- Nie płacz... nie trzeba płakać.

- Wiem. Jestem głupia. - Ogromnym wysiłkiem woli nieco się uspokoiła. - Nie wiem, czemu daję tak ponieść się emocjom. Zwykle zachowuję się inaczej.

- Może właśnie dlatego - powiedział łagodnie.

- Co masz na myśli?

- Ludzie, którzy tłamszą w sobie wszystko, potem wybuchają. Tak jak zrobiłaś to wczoraj, tylko w inny sposób. - Ujął jej podbródek i zmusił do spojrzenia mu w oczy. - Zaskoczyłaś mnie. Myślałem na początku rejsu, że trzeba będzie dużo czasu i łagodnej perswazji, żebyś pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. A było inaczej. I na plaży na Boduhithi, i w twojej kajucie.

Rozbawienie w jego oczach sprawiło, że oblała się mocnym rumieńcem. A on wtedy ją pocałował. W jednej chwili powróciły te wspaniałe wrażenia, jakich doświadczyła w jego ramionach poprzedniego dnia. Zapomniała o wszystkim. Myślała tylko o tym, że jest z nim i on jej pożąda.

Tak długo zostali w muzeum, że do portu musieli biec. Przechodnie przyglądali się im ze zdziwieniem. Większość ludzi w takim klimacie rzadko pozwalała sobie na jakieś gwałtowne ruchy czy forsowny wysiłek.

Tylko Manik zauważył, że spóźnili się kilka minut. Pasażerowie byli zbyt zaaferowani faktem, że Diane namówiła Profesora do zgolenia brody i kupna kilku nowych ubrań. Miał na sobie jaskrawą, wzorzystą koszulę i białe spodnie. Charlotte nie rozpoznałaby go na ulicy.

Wiatr wciąż wiał całkiem mocno. Nim dotarli do szkunera, wszyscy byli przemoczeni.

Okolo pół godziny później Charlotte przyglądała się Deanowi zrzucającemu swoją torbę do łodzi, która miała go zabrać na Hulhule, gdzie lądowały odrzutowce.

Pożegnali się jak na Brytyjczyków przystało: uściskiem dłoni i konwencjonalnym cmoknięciem w policzek. Charlotte posłała Deanowi promienny uśmiech.

Gdyby była sama, patrzyłaby za łodzią Deana, aż zniknęłaby z horyzontu. Ale na pokładzie znajdowali się inni. Na plecach czuła też wlepione w siebie oczy kapitana. Odeszła od burty jako jedna z pierwszych. Nie chciała, żeby ktokolwiek domyślił się jej uczuć. Czuła się tak rozbita, jak w dniu, kiedy dowiedziała się o śmierci dziadka.

Dwa tygodnie wcześniej Charlotte nie uwierzyłaby, że dojrzała kobieta może spędzić całą noc, płacząc w poduszkę. Zachowywała się jak zakochana nastolatka.

Rano miała zapuchnięte powieki i była bardzo zmęczona. Na szczęście nikt tego nie zauważył, bo Bill i Olly mieli kłopoty z żołądkami, a ich małżonkowie byli zbyt zajęci opieką nad chorymi, by zwracać uwagę na Charlotte.

- Bill jest okropnym pacjentem. Jak większość lekarzy - powiedziała jej Janet.

A Vic dodał od siebie:

- Musiało im zaszkodzić coś, co zjedli wczoraj w restauracji. Nie podobało mi się to miejsce. Bóg raczy wiedzieć, jak wygląda kuchnia.

Charlotte przemknęło przez myśli, że pewnie nie gorzej niż kuchnie większości europejskich restauracji, ale nic nie powiedziała. Bardziej prawdopodobnym źródłem infekcji były lody, które jadły obie pary.

Większość dnia spędziła w wodzie. Pływała koło rafy otaczającej Kuda Bandos, małą wyspę z rezerwatem przyrody.

Po południu Bill i Olly poczuli się lepiej. Zostali jednak na pokładzie, podczas gdy Vic i Janet poszli popływać.

Jakiś czas później Janet i Charlotte zasiadły na plaży.

- Jestem pod wrażeniem przemiany, jaka zaszła w profesorze pod wpływem Diane. Bez tej paskudnej brody wygląda całkiem znośnie. Zmusiła go nawet do brania prysznicza dwa razy dziennie. Myślisz, że poszli na całość, jak mówią młodzi? Wydawałoby się, że to niemożliwe na tak wąskich kojach, ale może ja już jestem na to za stara i brakuje mi wyobraźni.

- Nie wiem, ale nawet jeśli, jaką to ma przyszłość? - zapytała Charlotte. - Jak sądzisz, czy romans skończy się na lotnisku, czy będzie trwał dalej?

- A któż to wie? Profesor potrzebuje kobiety, która by o niego zadbała. Tylko trudno mi sobie wyobrazić Diane w roli potulnej małżonki wykładowcy uniwersyteckiego. Zresztą, może to wcale nie jest szaleństwo, jeśli przy niej czuje się szczęśliwy? - Janet przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej: - Diane też wiele by przy nim skorzystała. Pod jego wpływem mogłaby się stać całkiem inteligentną kobietą.

- To bardzo prawdopodobne - zgodziła się Charlotte. Zastanawiała się właśnie, czy Janet domyśla się, że ona zakochała się w Deanie.

Jakby odpowiadając na jej myśli, Janet dodała:

- Szkoda, że Dean musiał skrócić wakacje. Bardzo go polubiłam. Czy mówił ci dużo o sobie? Czym się zajmuje?

- Nie mówił.

- Bill uważa, że może on pracować w Specjalnych Siłach Powietrznych i dlatego nie wspomniał o swoim zawodzie. Oni są bardzo tajemniczy.

Zastanawiała się, czy Janet wie, co się wydarzyło, i czeka na wyznania. Charlotte nigdy nikomu nie zwierzała się ze

swoich problemów. Sama była powierniczką Kay i Sally, zaś o swoich sprawach milczała.

I, właściwie, co miałyby wyznać? Oddała serce mężczyźnie, który poprosił, żeby do niego napisała, a potem zapomniał zostawić adres.

Mogła łatwo zdobyć jego adres. Był w komputerze w firmie. Jednak nie zamierzała tego robić. Chciała poczekać, aż sam się do niej odezwie. Jeśli będzie chciał, znajdzie ją. Jeśli naprawdę będzie chciał.

Ostatniego dnia rejsu Charlotte pożegnała się z wszystkimi podczas śniadania. Udawała się na atol Fadippolu, daleko na południu, a oni mieli wieczorem odlecieć do Londynu. Opowiedziała o swojej nowej pracy.

- Niektórzy to mają szczęście - westchnęła Olly. - My ponownie zobaczymy słońce dopiero za kilka miesięcy. A i do pracy niespecjalnie mi się spieszy.

- Mnie też nie! - dodał Vic, krzywiąc się. - Moim płucom bardziej odpowiada morskie powietrze niż smog wielkomijskich korków.

- Między wakacjami a pracą tutaj jest kolosalna różnica - powiedziała Charlotte. - Nie będę miała czasu na opalanie.

Nikt z nich nie mógł też wiedzieć, jak bardzo chciałyby pojechać do tego zimowego miasta. Tam był Dean, tam ciągnęło ją serce.

- Będziemy w kontakcie, skarbie? - zapytała Olly, kiedy się już wyściskali na pożegnanie.

- Pewnie.

Wiedziała jednak, że przyjaźnie z wakacji rzadko są podtrzymywane. Bywają tak samo efemeryczne jak wakacyjne romanse. Jeśli ludzie nie mieszkają blisko siebie albo nie mają wspólnych zainteresowań, znajomości zawarte podczas urlopów rzadko wytrzymują presję codziennego życia.

- Do widzenia, skarbie. Zajrzyj do nas, gdybyś kiedykolwiek była w pobliżu - poprosiła ciepło Janet.

- Wszystkiego dobrego. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła - zachichotała Diane.

Bill i profesor ścisnęli jej rękę, ale Vic pocałował ją w oba policzki.

- Jesteś rewelacyjna! - oznajmił jej z uśmiechem.

- Ty też, Vic. Olly to szczęściara - odparła poważnym tonem Charlotte.

Potem pożegnała się z Maumoonem, Hassanem oraz Alim i zeszła po raz ostatni po drabince. W łodzi czekał na nią Manik, który miał ją odwiedzić na krajowe lotnisko.

Reszta pasażerów stała na pokładzie i machała rękami na pożegnanie, a Olly wykorzystwała okazję do zrobienia zdjęcia na ostatnim z bardzo licznych filmów, jakie Parsonowie wypstrykali podczas wakacji.

Charlotte patrzyła na "Bryzę", aż ludzie na pokładzie zamienili się w małe punkciki. Teraz czekało ją jeszcze tylko pożegnanie z Manikiem.

Kiedy zorientowała się, że to on ją odwiedzi, uznała, że chce z nią porozmawiać bez świadków. Teraz jednak wyglądało na to, że się pomyliła. Przeniósł jej bagaż z łodzi na lotnisko i wciąż nie powiedział nic bardziej osobistego niż obietnica odwiedzin podczas urlopu.

Trzymał jej dłoń w swojej dłużej, niż było to potrzebne.

- A - salam alekum.

- Do widzenia, Manik. Uważaj na siebie.

Patrzyła za nim, jak odchodził. Czuła ból z powodu rozstania, ale nie tak głęboki, jak przy pożegnaniu z Deanem.

Dwa tygodnie później, kiedy powoli ogarniała ją rozpacz, nadszedł list faksem.

Nadano go we wsi w Dorset. Podpisany był „Dean”. Pytał w nim, jak się miewa, informował, że jego matka czuje się

lepiej, a on jest bardzo zajęty. Za żadne skarby świata nie można było tego uznać za list miłosny.

Odpowiedziała mu w tym samym tonie. Pisała przede wszystkim o nowej pracy i wyzwaniach, jakie przed nią stały.

Pracowała już miesiąc, kiedy wzięła swój pierwszy wolny dzień i pojechała do Male. Tam, na poczcie, przy okienku poste restante, dostała dwa listy. Jeden nadała Janet, drugi Olly. Obie koperty zawierały zdjęcia z wakacji. Na trzech był Dean.

Następnie poszła do prywatnej biblioteki Mohameda Ismaila Didiego, gdzie jej dziadek spędził długie godziny nad starymi egzemplarzami „National Geographic”. Tej bibliotece przekazał własne zbiory. Charlotte pamiętała, że wśród jego książek był zbiorek wierszy romantycznego poety Byrona.

Nie było w nim fragmentu, który zacytował Dean. Znalazła go na okładce tomiku. Był dopisany ręką dziadka.

Przepisała wiersz. Zajrzała do niego nocą, kiedy była sama, a przed oczami miała zdjęcia Deana.

Kilka dni później niespodziewanie odwiedził ją Manik.

- Co ty tutaj robisz? Mam nadzieję, że nie straciłeś pracy?

- Nie, Maumoon ma wszystko pod kontrolą. Doskonale zna się na rzeczy. Prawdopodobnie to on mnie zastąpi, kiedy zacznę nową pracę.

- Jaką znowu nową pracę? - zapytała Charlotte.

- Mam pływać na nowym szkunerze. Otrzymam udział w zyskach - odparł z dumą.

- Manik, to wspaniale! Kiedy to się stało?

- Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, żebym napisał do biura firmy, która wykupiła najemców „Bryzy”? Odpisali mi. Mam tu list.

Wyciągnął kartkę papieru, rozłożył ją i podał Charlotte. W liście napisanym na papierze firmowym Jardine Latimer

proponowano Manikowi prowadzenie luksusowego jachtu, który zabierałby na pokład dwadzieścia osób.

„Dobry znajomy prezesa naszego biura podróży poinformował nas, że jest pan wysoko kwalifikowanym kapitanem z dużym doświadczeniem, co jest niezbędne w tak odpowiedzialnej pracy. W ramach pana kontraktu...”

- Dobry znajomy prezesa to musi być Dean Richmond - domyśliła się Charlotte po przeczytaniu listu do końca.

- A ja sądzę, że to profesor Paddington.

- To też możliwe. Albo Bill Warren. Może jest lekarzem prezesa. Zresztą, to nie ma znaczenia. Ważne, że proponują ci dużo korzystniejszy układ niż dotychczasowy. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, Manik. Zaslugujesz na to. Jesteś świetnym kapitanem.

Zjedli razem kolację w miejscowej restauracji położonej nad laguną, wśród palm. Charlotte zauważyła kilka kobiet przyglądających się z ciekawością Manikowi, a jej z zazdrością.

Po kolacji Manik zaproponował spacer wzdłuż zalanej światłem księżycy plaży. Instynkt podpowiadał jej, że lepiej będzie nie zostawać z nim sam na sam, ale nie potrafiła wymyślić żadnej wiarygodnej wymówki.

- Pod warunkiem, że nie będziemy się bardzo oddalać. Gdyby coś się działo, muszą mnie łatwo znaleźć. Z wyjątkiem dni, kiedy mam wolne, jestem w pracy właściwie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Księżyc był w pełni. Plaża na południe od restauracji wyglądała jak z obrazka w broszurce turystycznej. Piasek lśnił niemal śnieżną bielą. Nad spokojnymi wodami laguny pochylały się pióropusze palm. Linia, wzdłuż której tworzyły się fale, wskazywała, gdzie zaczyna się ocean.

Zostawili buty pod krzakiem. Manik zdjął też marynarkę pod którą miał koszulkę z napisem "Bryza" biegnącym w poprzek klatki piersiowej.

- Kiedy wracasz? - zapytała Charlotte w dhivehi, którego używali od chwili, gdy zastukał do jej drzwi.

- Jutro. Mogę zostać tylko na jedną noc. Musiałem cię odwiedzić, bo teraz, kiedy poprawi się moja sytuacja finansowa, mogę ci wreszcie zdradzić, co czuje moje serce. Wcześniej to było niemożliwe. Miałem za mało do zaoferowania kobiecie takiej jak ty, ukochana.

Wiedziała, że w żaden sposób nie jest w stanie powstrzymać Manika przed tym wyznaniem. Mogła tylko słuchać i starać się wybrnąć z tego tak, by jak najmniej go zranić.

- Na pewno nie jesteś zaskoczona, że cię kocham, Charlotte... że chcę, byś została moją żoną, matką moich synów. Mamy szansę na dobre życie. Niepotrzebna mi żona, która siedzi w domu, kiedy ja wypływam. Chcę mieć ją ze sobą. Na nowym szkunerze będą wygodne kajuty. Polubisz poznawanie nowych ludzi. Nie będziesz odcięta od Europejczyków. - Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Ale to są tylko praktyczne szczegóły. W taką noc, jak ta, z kobietą tak piękną jak ty, lepiej jest się całować, niż rozmawiać.

Poprzednim razem pocałował ją na siłę. Teraz objął ją delikatnie. Charlotte była więc w stanie odsunąć go nieco od siebie.

- Kochany, wiesz, że bardzo cię lubię... jak siostra, a nie jak żona. Nie umiem kochać cię w inny sposób. Moje serce należy do innego...

Dni po wyjeździe Manika Charlotte spędziła głównie na roztrząsaniu, czy nie popełniła błędu, odrzucając jego

oświadczyły. Być może zrezygnowała ze szczęśliwego życia na rzecz marzenia, które nigdy się nie spełni.

Dręczyły ją wspomnienia o Deanie, powracały wciąż jego słowa. Postanowiła przesłać faksem odpowiedź na jego list. Pretekstu dostarczył jej Manik. Jeśli rzeczywiście to Dean pomógł Manikowi, należały mu się podziękowania.

Kilka kartek wylądowało w koszu na śmieci, nim w końcu udało się jej napisać coś sensownego.

Drogi Deanie!

Niespodziewanie odwiedził mnie Manik. Zaproponowano mu pracę na nowym szkunerze oraz udziały w zyskach. Podejrzewam, że to ty jesteś tym „dobrym znajomym prezesa Jardine Latimer”, który się do tego przyczynił. Jeśli mam rację, przyjmij moje słowa wdzięczności.

Kiedy przyjechał, żeby mi o tym powiedzieć, poprosił mnie o rękę. Ja żywię jednak do niego tylko siostrzane uczucia. Czułam się fatalnie z tego powodu, że musiałam mu sprawić ból, ale jestem pewna, że znajdzie jeszcze odpowiednią dziewczynę. To wspaniały facet, ale nie mnie przeznaczony.

Poza tym nie mam więcej nowin. Praca jest interesująca, każdego dnia dzieje się coś innego. Czasem jednak nie mogę sobie znaleźć miejsca. Kiedy tutaj mieszkałam przed laty, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak oddalone od reszty świata są te wyspy. Teraz to widzę.

Mój dziadek często śpiewał starą piosenkę, która zaczynała się do słów: „Nie zatrzymasz ich na farmie. Widzieli Paryż”.

Tak się właśnie czuję.

Charlotte

Przefaksowała list w piątek, licząc na to, że Dean zjawi się w swojej wiejskiej posiadłości w sobotę lub niedzielę.

Zdawała sobie jednak sprawę, że może być inaczej. Skąd mogła wiedzieć, czy jeździ do Dorset co tydzień?

We wtorek przyszła wiadomość od nowych szefów z Londynu.

Napisano ją na maszynie dużymi literami. Sformułowana była w skrótowym tonie charakterystycznym dla telegramów. Podpisał ją szef głównego biura Jardine Latimer.

PANI OBECNOŚĆ KONIECZNA W LONDYNIE.
PROSZĘ PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO WYJAZDU JAK
TYLKO ZJAWI SIĘ ZMIENNIK.

Charlotte czytała tę wiadomość kilka razy, zupełnie zbita z tropu. Na dole dopisane były szczegóły dotyczące jej lotu. Wynikało z nich, że ma wracać następnego dnia. Nie wieczorem, linią czarterową z grupą turystów, a regularnym samolotem.

Nie było sensu wysyłać faksu z prośbą o wyjaśnienia. W Anglii była głęboka noc. Nim o dziewiątej ludzie przyjdą do pracy, jej zmiennik wyląduje już w Male i od niego dowie się, dlaczego została tak nagle odwołana do Londynu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie mam pojęcia, o co chodzi - powiedział jej zmiennik, Bob Tempie. - Wiem tylko, że szykuje się jakieś wielkie trzęsienie ziemi, w związku z czym lepiej się nie wychylać i robić, co nam każą, bo zostaniemy bez pracy. Nowy szef trzyma wszystko mocną ręką. Podobno to taki... staroświecki despota. Jeśli komuś się nie podoba sposób, w jaki prowadzi firmę, nie zagrzeje w niej miejsca. A trzeba oddać mu sprawiedliwość, że pod jego rządami firma kwitnie.

Charlotte czekała jeszcze jedna niespodzianka. Bob wręczył jej bilet na samolot do Londynu. Zarezerwowano jej miejsce w pierwszej klasie. Przywiózł też list, który zawierał kilka dalszych instrukcji. Miała się stawić na rozmowę w biurze o piątej po południu. Co zostawiało jej czas na kąpiel i przebranie się, a nawet na krótką drzemkę.

Kiedy następnego ranka w Londynie weszła do zatłoczonej poczekalni lotniskowej, skąd miała zaraz iść do autobusu, który zabrałby ją do centrum miasta, ze zdziwieniem zauważyła, że jeden z kierowców taksówek trzyma tabliczkę z jej nazwiskiem.

- Przepraszam, czy pani jest Charlotte Perivale?

- Tak... Skąd pan wie?

- Pokazano mi pani zdjęcie - odparł, biorąc od niej bagaże.

- Naprawdę? A kto panu pokazał?

- Mój szef, proszę pani. Dostał je od pani pracodawcy. Mam panią zawieźć do domu, a potem przyjechać po panią o wpół do piątej.

Nigdy w życiu nie czekała na nią taksówka. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Kiedy ruszyli spod terminalu, kierowca odsunął szklaną przegrodę między przednimi a tylnymi siedzeniami.

- Ma pani piękną opaleniznę. Skąd pani wraca? - zapytał. Gdyby przyleciała samolotem czarterowym, pewnie byłaby tak zmęczona, że nie miałaby ochoty na rozmowę z taksówkarzem. Ale tym razem zjadła wspaniałą kolację, potem przez sześć godzin spała, a rano podano jej pyszne śniadanie. Była w doskonałym humorze i myśl o pogawędce była jej nawet miła. Dzięki niej mogła nie myśleć o popołudniowym spotkaniu.

Opowiedziała taksówkarzowi o Malediwach.

W tej chwili nie padało, ale w nocy i poprzedniego dnia lało jak z cebra. Niebo wciąż przypominało szarą masę ołowiu. Pola między lotniskiem a miastem były wilgotne i opustoszałe. W oczach Charlotte przyzwyczajonych do ostrego światła i mocnych barw wszystko to wyglądało przygnębiająco.

Kiedy taksówkarz wrócił po nią po południu, czekała już na niego w ubrana w kostium Sally. Zadzwoiła do niej z prośbą o pożyczanie czegoś odpowiedniego na rozmowę, od której być może zależała cała jej przyszłość.

Sally miała dużo drogiej rzeczy w dobrym stylu. Zaproponowała Charlotte prawie nową marynarkę i spódnicę z wielbłądziej wełny oraz bluzkę z wzorzystego jedwabiu. W połączeniu z opalenizną i rozjaśnionymi słońcem włosami efekt był wyśmienity. Za namową Sally Charlotte wzięła też jej buty i torebkę dobrane specjalnie do tego kostiumu.

Biuro Jardine Latimer mieściło się w jednym z najstarszych budynków przy placu Berkeley Square. Była za sześć piąta, kiedy Charlotte weszła do środka i powiodła dookoła zachwyconym wzrokiem. Marmurowa, czarno - biała posadzka harmonizowała ze szlachetnymi boazeriami. Biurko recepcjonistki było zabytkowe; stały na nim pięknie ułożone, świeże kwiaty.

Siwowłosa, elegancka recepcjonistka przywitała ją uprzejmie:

- Dzień dobry, panno Perivale. Proszę usiąść i chwileczkę poczekać. Zaraz ktoś po panią przyjdzie.

- Z kim mam się spotkać? - zapytała Charlotte. - Z kadrowym?

Starsza dama spojrzała na nią nieco zdziwiona.

- Ma się pani spotkać z samym panem Latimerem - powiedziała tonem, jakim mogłaby oznajmić, że za chwilę Charlotte spotka się z królową albo papieżem.

Charlotte usiadła oniemiała i próbowała uspokoić rozszalałe nerwy i niespokojny oddech.

Po chwili pojawiła się inna pani w średnim wieku i schodami wyłożonymi tureckim dywanem poprowadziła ją na pierwsze piętro. Tam weszły do czegoś w rodzaju poczekalni, urządzonej jak sekretariat. Kobieta podniosła słuchawkę interkomu i zaanonsowała jej przybycie:

- Panna Perivale już tu jest, panie Latimer. Tak, proszę pana. Odłożyła słuchawkę i otworzyła przed Charlotte mahoniowe drzwi.

Za ogromnym biurkiem nie siedział jednak żaden mężczyzna po pięćdziesiątce z krzaczastymi brwiami i w okularach, jakiego spodziewała się ujrzeć.

- Witaj, Charlotte - powiedział Dean, gdyż to właśnie on wstał z za tego biurka i podszedł do niej, wyciągając dłoń na powitanie. Uśmiechał się do niej ciepło. - Jak minął lot? Mam nadzieję, że warunki były trochę lepsze niż w trakcie naszej podróży do Male?

To był konwencjonalny uścisk dłoni. Ale w chwili gdy ich palce się zetknęły, Charlotte zadrżała. Zdołała jednak wziąć się w garść na tyle, by odpowiedzieć spokojnie:

- Było bardzo wygodnie, dziękuję. - Nie wytrzymała jednak i dodała zaraz: - Ty to wszystko zorganizowałeś? Podróż pierwszą klasą?

- Chciałem, żebyś miała komfort i wygodę. Nie wolno podejmować ważnych decyzji, kiedy człowiek jest zmęczony po podróży.

- Jakich ważnych decyzji?

- Za chwilę do tego dojdziemy. Najpierw chciałem przeprosić za to, że cię oszukałem. Jak już wiesz, nie nazywam się Richmond. To nazwisko panińskie mojej mamy. Używa go w zawodzie, a ja je sobie pożyczam, kiedy podróżuję incognito. Podobnie jak mój ojciec i dziadek, sam sprawdzam jakość usług Jardine Latimer.

- To ty naprawdę jesteś Jardine Latimer! - Nie mogła w to wprost uwierzyć.

- Zgadza się. Jednak dla odróżnienia od ojca zawsze nazywano mnie Dean.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła kobieta ubrana na granatowo, niosąca tacę z herbatą. Postawiła ją na trójnożnym stoliku stojącym obok foteli przed kominkiem.

- Dziękuję, pani Hendon. Usiądziesz, Charlotte? - zaproponował Dean, wskazując jeden z foteli. - Należę, a ty spokojnie dojdiesz do siebie. Pewnie przeżyłaś szok, dowiadując się, że nowym pracodawcą jest ktoś, kogo już całkiem dobrze znasz. Posłał jej rozbawione spojrzenie za plecami pani Hendon, przypominając w ten sposób, jak daleko zabrnęła ich znajomość. Zdecydowanie przekroczyła profesjonalne ramy.

- Czy jadłaś lunch?

- Tylko jabłko, ale rano pochłonęłam porządne śniadanie. Potem byłam zbyt zdenerwowana, by cokolwiek jeść. Wiesz, to dość niepokojące, kiedy bez wyjaśnień wzywają cię z drugiego końca świata. Dlaczego kazałeś mi przyjechać?

- Wypij herbatę i zjedz coś. - Przyniósł jej talerz, na którym leżała mała, lniana serwetka oraz drugi, większy, z pięknie ułożonymi kanapkami, jakie podaje się w najdroższych restauracjach.

Zjadła kilka mikroskopijnych kanapek. Nie było sensu popędzać Deana. Najwyraźniej postanowił sam wybrać odpowiedni moment na wyjaśnienie powodu, dla którego kazał jej wracać do Londynu.

- Nie spodziewałem się, że będziesz taka elegancka. Osobiście chyba jednak wolę cię bosą, z zapiaszczonymi stopami.

- Ty też wyglądasz zupełnie inaczej - zwróciła mu uwagę. Miał na sobie elegancki garnitur. Wiedziała jednak, że pod spodem kryje się to silne, męskie ciało, o którym nie potrafiła zapomnieć

- Pewnie tak. Chociaż to nie zależy ode mnie. Wolałbym ubierać się inaczej, ale takie są współczesne wymogi. Czy zjesz dziś ze mną kolację?

Pytanie padło bardzo nieoczekiwanie, ale od wczoraj zdążyła się już przyzwyczaić do nieoczekiwanych wypadków.

- A mam jakiś wybór? - zapytała.

Dean uniósł brwi.

- Co masz na myśli? Sądzisz, że używam swego stanowiska, żeby cię zmusić do wspólnej ze mną kolacji, a może i innych przysług?

- Nie o to chodzi...

- Jeśli nie chcesz, możesz odmówić. Masz jakieś inne plany na wieczór?

- Nikt, poza Sally, moją współlokatorką, nie wie, że jestem w Londynie - odparła Charlotte. - Zadzwoiłam do niej, że wracam, chociaż nie byłam w stanie powiedzieć, na jak długo.

- To zależy od kilku rzeczy. A tak przy okazji, dziękuję ci za ostatni list. Wynika z niego, że nie jesteś tak szczęśliwa z powrotu na wyspy, jak oczekiwałaś. Dlaczego?

Prawda była prosta. Dlatego, że go spotkała i teraz wszystko wyglądało inaczej. Tego jednak nie powiedziała głośno.

- Malediwy są zupełnie inne niż kiedyś... Ja też. - Po czym zmieniła temat. - Chętnie zjem z tobą kolację. Zadzwoń tylko do Sally i powiem jej, że nie będzie mnie wieczorem.

- To zadzwoń do niej od razu - zasugerował. - Jak ona się nazywa i jaki jest do niej telefon?

Charlotte podała mu numer i z zaskoczeniem zobaczyła, że sam go wykręca. Kiedy czekał na połączenie, poprosił Charlotte, by podeszła do telefonu. Dał jej słuchawkę, w której niemal w tej samej chwili zabrzmiał głos Sally. Poinformowała ją, że wróci późno, nie wyjaśniając, dokąd i z kim się wybiera. Dean przez cały czas stał obok niej. Kiedy skończyła rozmowę, objął ją w pasie.

- Nie chciałem tego robić teraz, ale nie mogę się powstrzymać. Załatwmy to od razu. Tęskniłaś za mną tak bardzo, jak ja za tobą?

Przyciągnął ją blisko do siebie, tak że odruchowo położyła mu dłoń na piersi.

- Nie wiedziałam, że za mną tęskniłeś - odparła drżącym głosem.

- To było nie do zniesienia! Myślałem o tobie nieustannie od dnia naszego rozstania, od chwili kiedy ostatni raz miałem cię w ramionach. Pocałuj mnie.

Natychmiast zniknęły wszystkie wątpliwości, które nękały ją przez ostatnie tygodnie. Uśmiechnęła się do niego.

- Czy to rozkaz, panie Latimer?

I już zarzucała mu ręce na szyję, a jej usta szukały jego ust. W końcu Dean, ach niechętnie, przerwa! pocałunek.

- Tylko jeden list przez cały ten czas... i to nie list miłosny, na jaki czekałam - powiedziała z wyrzutem Charlotte.

- Chodziło o Manika. Chciałem dać mu szansę. Lubię go, to dobry facet.

- Ale musiałeś wiedzieć, że to ciebie kocham.

- Nie chciałem naciskać, wykorzystywać sytuacji. On jest w tobie zakochany. Gdybym ja się nie napatoczył, być może byłabyś z nim szczęśliwa.

- Być może... ale się napatoczyłeś. Po tym popołudniu w mojej kajucie nie miałaś chyba wątpliwości, że ciebie kocham bardziej, dużo, dużo bardziej?

- Na tyle mocno, by zrezygnować z kariery? - zapytał. - Czytałem twoje dossier. Masz świetne osiągnięcia, doskonałe oceny, jesteś pracowita i ambitna. A ja potrzebuję żony na pełny etat.

Charlotte uśmiechnęła się.

- Jeśli tego chcesz, rzucę pracę w jednej sekundzie.

Wzięli ślub w następnym tygodniu. Zaprosili tylko matkę Deana, jego najbliższych przyjaciół, a ze strony Charlotte - Sally i Kay oraz jej kuzyna z żoną. To u nich spędzała wakacje i święta od czasu śmierci dziadka. Okazało się jednak, że w kościele pojawili się jeszcze inni goście. W komplecie stawili się znajomi z rejsu na pokładzie „Bryzy”

Po ślubie odbyło się małe przyjęcie w uroczym domu matki Deana. O czwartej po południu młoda para wyjechała w podróż poślubną. Charlotte nie wiedziała, dokąd jadą. Najpierw myślała, że samochód kieruje się w stronę lotniska, szybko się jednak okazało, że jest inaczej.

- Chyba wiem, dokąd zmierzamy. Do twojego wiejskiego domu? - upewniła się Charlotte.

- Jesteś rozczarowana?
- Wcale. Marzyłam, żeby tam pojechać.
- Ponieważ przez najbliższe czterdzieści lat będziemy mnóstwo podróżować, pomyślałem, że dobrze byłoby zacząć nasze małżeństwo w jakimś cichym, wygodnym, nieodległym miejscu. Pani Dollis, która opiekuje się domem, obiecała rozpalić ogień w kominku i zrobić nam zakupy. Pojawi się dopiero we wtorek. - Położył rękę na biodrze Charlotte i dodał: - Będę cię miał tylko dla siebie. Już na zawsze.